Nr 7
25. VIII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



DZISIEJSZY NUMER ZAWIERA:

KROK NAPRZÓD CZY WSTECZ

Wielka ilość głosów anglosaskich i częste artykuły w obronie „głodnych“ Niemców, sprawiły, że każde posunięcie Ameryki czy Anglii w odniesieniu do okupowanych Niemiec jest w Polsce oceniane krytycznie i—powiedzmy szczerze — podejrzliwie. Ogłoszone ostatnio postanowienie o ekonomicznym połączeniu strefy amerykańskiej i brytyjskiej, ma daleko idące konsekwencje i dlatego wymaga z naszej strony rozważenia i oceny.

O co chodzi? Jak wiadomo, na konferencji w Poczdamie Wielka Trójka ustaliła, że Niemcy będą traktowane jako gospodarcza jedność, mimo, że będą podzielone na cztery strefy okupacyjne. Jest rzeczą oczywistą, że umowa poczdamska stanowi integralną całość, a poszczególne postanowienia wzajemnie się uzupełniają. Postanowienia gospodarcze nie mogą więc być traktowane jako coś odrębnego od postanowień politycznych. Tymczasem to właśnie usiłują czynić Anglosasi. Pozornie istnieją pewne przesłanki, które zdają się usprawiedliwiać to posunięcie. Wszyscy Polacy pamiętają dobrze pomoc żywnościową, udzielaną przez Amerykanów mieszkańcom swej strefy. Koszt jej wyniósł 260 milionów dolarów, czyli połowę sumy, jaką wynoszą dostawy UNNRA dla Polski. Anglicy wprawdzie pozwolili na urządzanie zbiórek na rzecz głodujących Niemiec, wynik ich był jednak skromny. Nie uskarżają się też na wydatki z tego tytułu, lecz na koszt utrzymania wojsk i administracji okupacyjnej, wynoszący pono 40 milionów funtów szterlingów rocznie. Nierówność wyżywienia, istniejąca między strefą amerykańską i angielską, jest znaczna i powodowała nawet niepożądane próby migracyjne. Jednocześnie Anglicy obracali węgiel Ruhry na potrzeby Niemiec i ewentualnie inne według swego widzimisię, gdy nie tylko Francja, ale również strefa amerykańska cierpiała na brak paliwa. W tych warunkach pewne czynniki anglosaskie usiłują przedstawić połączenie dwóch stref jako posunięcie, zmierzające tylko do zmniejszenia trudności ekonomicznych i krok naprzód w unifikacji gospodarczej Niemiec. Usiłują wysunąć na pierwszy plan nieznaczne oszczędności budżetowe, płynące dla obu państw z tego kroku, przemilczając znaczenie polityczne tego posunięcia.

Niestety, musimy liczyć się z rzeczywistością, o której na Zachodzie często zapominają, że Niemcy, choć pokonane, są potencjalnie ważnym czynnikiem politycznym. Masa 70 milionów ludzi między Odrą a Renem nie może być traktowana jako polityczna próżnia. Z reakcjami tej masy trzeba się liczyć. Trzeba też czasem zrezygnować z drobnych doraźnych korzyści w imię najwyższego interesu, jakim jest zapewnienie trwałego pokoju i światowego bezpieczeństwa. Niemcy niewątpliwie przyjmą połączenie dwóch stref jako dowód przychylności anglosaskiej. Nie chcemy w tej chwili wnikać, czy istotnie leżało to w zamiarach inicjatorów połączenia. Dla nas istotna jest ocena niemiecka. Chcemy wierzyć i wierzymy, że naród amerykański tak jak i angielski nie sympatyzuje z tymi kołami, które chętnie widziałyby odrodzenie gospodarcze potęgi niemieckiej, ale Niemcy zechcą dopatrzyć się w danym wypadku „opieki“ anglosaskiej. Niczego zaś w tej chwili bardziej nie pożądają, jak potężnych opiekunów, dostatecznie naiwnych, by pozwolić im na możliwie szybką odbudowę przemysłową.

Decyzja anglosaska jest przedwczesna i dlatego szkodliwa. Dwa mocarstwa, okupujące na równi z Anglosasami Niemcy, zostają przedstawione narodowi niemieckiemu w fałszywym świetle. Francja i Związek Radziecki stoją bowiem również na stanowisku, że przyszłość Niemiec musi być oparta na jedności gospodarczej, tak jak tego wymagają przepisy zgodnie ustalonego porozumienia poczdamskiego. Zanim to nastąpi, trzeba jednak wykonać inne klauzule porozumienia, które mają na względzie interes nie pokonanych lecz pokrzywdzonych. Pokrzywdzonymi zaś w danym wypadku są ci spośród zwycięzców, którzy ponieśli straty i szkody niewspółmiernie większe od zwyciężonego. Dlatego też dopiero po całkowitej denazifikacji, po zupełnej demilitaryzacji Niemiec i po ściągnięciu reparacji wojennych, płatnych w urządzeniach przemysłowych, a więc dopiero po częściowym naprawieniu szkód, wyrządzonych przez Niemców, należy przystąpić do usunięcia niedogodności gospodarczych, jakie okupacja przynosi Niemcom, a które nie są potrzebne dla zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa.

W psychice niektórych ludzi na Zachodzie ugruntowało się bezpodstawne mniemanie, że sam fakt zwycięstwa nad Niemcami jest dostateczną nagrodą za poniesione ofiary w ludziach i straty materialne. Mniemanie jest nie tylko błędne i jako takie szkodliwe, ale nadto staje się powodem ślepoty politycznej. W konsekwencji nie dostrzega się istotnego sensu układu poczdamskiego, który może posiadać pewne niedociągnięcia w detalach, jednak jako całość zawiera wszystkie elementy potrzebne dla zapewnienia bezpieczeństwa. Dlatego też połączenie gospodarcze dwóch stref, tylko ślepcom może wydawać się krokiem naprzód na drodze do trwałego pokoju.

Wystarczy przypomnieć cyfry strat w ludziach, poniesionych przez Niemcy, strat, które — w stosunku do liczebności Niemców i Polaków są czterokrotnie mniejsze od naszych ofiar. Straty w potencjale przemysłowym itp. nie dają się w ogóle porównać. Gdyby dziś już dokonano połączenia wszystkich stref Niemiec, całość stałaby się organizmem gospodarczym groźnym dla sąsiadów bezpośrednich, przede wszystkim dla Polski. Jedność gospodarcza Niemiec, która w przyszłości, po wykonaniu innych postanowień poczdamskich, stanie się rzeczywistością pozbawioną większego znaczenia, w obecnej chwili jest niebezpieczna.

Jasne jest, że dążenie ze strony Anglosasów do stworzenia jedności gospodarczej Niemiec, nie wypływa jedynie z pobudek czysto humanitarnych. Możemy to uważać za zainicjowanie pewnej rywalizacji w licytowaniu się o uzyskanie względów „narodu zbrodniarza“, który w ten sposób zamiast przykładnej kary, stałby się wkrótce „pupilkiem narodów“. Jest to ciche marzenie, zarówno tych Niemców, którzy myślą o szybkim odwecie, jak i tych, którzy by po swojemu chcieli cały świat „zdemokratyzować“, według własnej recepty. Zapoczątkowanie obecnej polityki przez państwa anglosaskie idzie bezwzględnie po linii pokonanych Niemców, a nie tych państw, które zostały przez nich zniszczone.

Wierzymy jednak, że zapoczątkowana **rywalizacja restytucyjna Niemiec,** nie znajdzie całkiem oddźwięku ze strony innych okupujących państw, a przeciwnie — wzmocni tylko ich czujność.

Władysław Pawlak



Tygodnik angielski „Everybody“ przedstawia mapę okupowanych Niemiec z uwzględnieniem poszczególnych stref. Na mapie tej odzyskane ziemie zachodnie Polski włączone są do okupacyjnej strefy Z.S.R.R., (tendencyjność pisma nie wymaga komentarzy).
Podane na mapie objaśnienia kolejno od góry oznaczają: coal-węgiel, mineral resources — bogactwa kopalniane, rye oats — zboże, potatoes — kartofle, dairy produce — produkty mleczarskie, sugar beet — buraki cukrowe, wine — wino.

KONFERENCJA PARYSKA
W KARYKATURZE



Burzliwe obrady pokojowe nie ograniczają się tylko do sali obrad i toczą się dalej w kuluarach. Od lewej: Bevin, Byrnes, przedstawiciel Australii Evatt, Mołotow, Rzymowski i dr Wang, przedstawiciel Chin.

Niedyskrecje polityczne

RYWALE POLITYCZNI NA JEDNYM POMNIKU

Sensację w Turcji stanowi fakt, że kontrkandydatem prezydenta Inönü na najwyższy urząd w państwie był marszałek Czakmak, na którego głosowali demokraci. Twórca nowej Turcji Kemal Atatürk, Ismet Inönü i marszałek Czakmak stanowili właściwy triumwirat, który dał podwaliny pod nową organizację państwową Turcji po poprzedniej nieszczęśliwej wojnie. Po śmierci Ataturka pozostali dwaj członkowie triumwiratu utrwalali dzieło swego przyjaciela i dopiero obecnie rozeszli się zupełnie.

Czakmak zrozumiał ducha nowych czasów i w ostatnich wyborach kandydował na czele listy demokratycznej, podczas gdy Ismet Inönü pozostał mężem sztandarowym partii republikańsko-ludowej, która dotąd dzierżyła niepodzielnie rządy w Turcji. Dwaj przyjaciele, stojący na pomnikach ramię w ramię stanęli obecnie naprzeciw siebie.

Jak to trzeba być ostrożnym przy stawianiu pomników żyjącym wielkościom. Pomnika burzyć nie wypada — a pogodzić się trudno.

MIŁA ZAPOWIEDŹ

Zmniejszenie przyrostu ludności niemieckiej

Mniej Niemców i to aż o połowę obiecuje nam za lat 50 jakiś nowy niemiecki geo—polityk, następca osławionego Haushoffera. Cyfry te są grubo przesadzone, nie mniej należy oczekiwać w okresie powojennym dużego spadku urodzin, a zatem i całego przyrostu naturalnego w Niemczech. Tak było i po poprzedniej wojnie. Znany demograf niemiecki Burgdorffer obliczył u początku ery hitlerowskiej, że dla utrzymania gatunku niemieckiego potrzeba 7 żywych urodzin na dwie rodziny. A było tylko 3. Oznaczało to, że przyrost naturalny niemiecki obniżył się poniżej szwedzkiego, który był najniższy w Europie, nawet po Francji i Anglii, Te obliczenia tak zaalarmowały władze hitlerowskie, że znalazłszy potwierdzenie podanych cyfr u Haushoffera, zaczęły premiowanie małżeństw i urodzin, popieranie wolnej miłości wśród SSmanów itp. Trochę to pomogło. Reszty dokonano podczas wojny przez kradzież dzieci w krajach okupowanych. Mimo tego zastrzyku należy się poważnie liczyć z dużym spadkiem urodzin w Niemczech, gdyż nędza powojenna zahamuje proces rozrodczości narodu niemieckiego, przyzwyczajonego do wygód. Hitler wiedział dobrze, że Niemcy sami na siebie nie zapracują i dlatego tworzył z podbitych narodów niewolników. Narody germańskie i niektóre romańskie przekroczyły już szczytowy punkt swego rozwoju. Teraz nadeszła kolej na Słowian.

POLACY NA ŚRODKOWYM WSCHODZIE

Pierwsza fala uchodźców napłynęła do Palestynie w r. 1940 z Rumunii, następne szły również z Węgier, z Jugosławii, z Grecji, z Bułgarii. Gdzie tylko pokazali się Niemcy, lub gdzie groziła inwazja, tam rodził się natychmiast wśród Polaków ruch uchodźczy.

Początkowo władze mandatowe palestyńskie nie chciały przyjąć więcej niż 2 tys. uchodźców polskich, ponieważ możliwości osiedleńcze w małym kraju były niewielkie. W rachubę wchodziły trzy większe ośrodki: Jerozolima, Tel-Aviv — Jaffa i Haifa. Ta ostatnia musiała być wkrótce ewakuowana z Polaków na skutek gwałtownego bombardowania przez lotnictwo Vichy w okresie zajmowania Syrii i Libanu przez połączone siły brytyjskie i wolno-francuskie.

W początkowej fazie uchodźtwo pozostawiono własnemu losowi. Opieka powierzona została przez emigracyjny rząd londyński konsulom, którzy ograniczali się do wypłacania uchodźcom zasiłków miesięcznych. Dopiero w maju 1941 r. utworzono urząd delegata ministerstwa pracy i opieki społecznej rządu londyńskiego, i życie uchodźcze popłynęło żywszym nurtem. Powstały świetlice, czytelnie, biblioteki, urządzano odczyty i dzienniki mówione, szkółki dla dzieci, roztoczono nad uchodźcami opiekę sanitarną przez założenie ośrodków zdrowia i szpitalika, ciężej chorych kierowano do szpitali miejscowych i do sanatoriów. Powstał dziennik polski i szereg czasopism, uchodźtwo zaczęło się różniczkować pod względem politycznym.

Miejscowa ludność, zarówno żydowska, jak i arabska, odniosła się nagół przychylnie do przybyszów polskich, których liczba zaczęła gwałtownie wzrastać w latach 1942—43 przez zasilenie emigracją ze Związku Radzieckiego, następnie przez liczne zwolnienia z armii Andersa. Istniejące ośrodki nie mogły pomieścić napływu uchodźców, którzy siłą rzeczy musieli się przenieść na prowincję i zamieszkali przeważnie w znanych biblijnych miejscowościach: w Betleem, w Betanii, skąd corocznie wyrusza procesja w Palmową Niedzielę, w Ain Karem, miejscu urodzenia św. Jana. Zaludniły się również podmiejskie miejscowości w okolicy Tel-Avivu i ponownie Haifa.

Jednocześnie wzrosła liczba młodzieży i dziatwy, wobec czego gimnazjum i liceum polskie w Tel-Avivie okazało się nie wystarczające. Otwarto dwa inne zakłady średnie w Jerozolimie i w Ain Karem oraz szereg szkół powszechnych. W łonie uchodźtwa pogłębiła się potrzeba organizacji, których powstało sporo o charakterze kulturalnym, narodowym, zawodowym i in.

Z chwilą zakończenia wojny uchodźtwo polskie w Palestynie liczyło około 7.000 głów, w czym połowę Żydów, zaopatrzonych w certyfikaty imigracyjne, którym w styczniu b. r. przestano z tego powodu wypłacać zasiłki uchodźcze.

Drugi większy ośrodek polski liczący około 6.000 ludzi, powstał w Libanie. Początkowo istniała tu tylko liczniejsza kolonia studentów polskich w Beyrucie, słuchaczów obu uniwersytetów, francuskiego i amerykańskiego. Później rząd libański zgodził się na przyjęcie większej liczby emigrantów ze Związku Radzieckiego, osiadłych czasowo w Iranie, którzy po przybyciu do Libanu zamieszkali wokół Beyrutu po wsiach arabskich, pobierając również zasiłki i organizując szybko swe życie na wzór uchodźtwa w Palestynie.



Port w Beyrucie



Ogólny widok Damaszku

Mniejsze skupienie utworzyło się w Egipcie, składające się głównie z rodzin oficerskich.

Ten błogostan zaczął ulegać szybkiej zmianie pod wpływem wiadomości z Polski, aż doszło do gwałtownego rozłamu na dwa obozy: w jednym pozostali przywódcy i zwolennicy orientacji londyńskiej, w drugim znaleźli się przywódcy i zwolennicy nowego ustroju w Polsce. Pośrodku pozostała neutralna masa chłopów, robotników, wszelkiego rodzaju drobniaków, miotanych uczuciami w jedną i drugą stronę. Między obu obozami zawrzała walka ideowa, lecz siły były nierówne. Zwolennicy orientacji londyńskiej korzystali z pomocy całego aparatu administracyjnego i organizacyjnego, a nawet z opieki palestyńskich władz mandatowych, które nie umiały zachować koniecznej w takich wypadkach bezstronności. Natomiast zwolennicy Rządu Jedności Narodowej musieli pracę improwizować, walczyć z szykanami aparatu urzędniczego londyńskiego, przełamywać rozliczne trudności i opory, szczególnie inercję owych neutralnych mas, nieufnych i podejrzliwych.

Mimo niekorzystnych warunków obóz demokratyczny rośnie jednak w Palestynie w siły, a jego działalność rozwija się coraz więcej. Natomiast w Libanie ruch jest bardzo słaby. Rząd libański nie uznał jeszcze Rządu Jedności Narodowej i stosunki dyplomatyczne między obu krajami nie istnieją. W Beyrucie urzęduje nadal minister pełnomocny byłego rządu emigracyjnego w Londynie, a nieliczni członkowie obozu demokratycznego narażeni są na szykany.

Należy jednak przypuszczać, że z chwilą rozpoczęcia masowej repatriacji Polaków ze Środkowego Wschodu sytuacja wyjaśni się całkowicie. Kto nie zechce wrócić do Polski, pozostawiony będzie własnemu losowi, trudno bowiem przypuścić, aby Rząd R. P. mógł się zgodzić na dalsze wypłacanie zasiłków uchodźczych przez Anglików na rachunek Polski upartym emigrantom, którzy będą woleli karczować dżungle afrykańskie, aniżeli odbudowywać własną Ojczyznę.

Aleksander Then

Słuszna troska Francji o losy Nadrenii

Sprawa Nadrenii sprawia wiele kłopotów Francji, ponieważ mocarstwa sojusznicze niechętnie godzą się na francuski plan odseparowania Nadrenii od Niemiec. Po poprzedniej wojnie, podczas okupacji Nadrenii Francuzi stworzyli w Nadrenii ruch separatystyczny usprawiedliwiony tym, że tamtejsi Niemcy charakterem i temperamentem zbliżeni są raczej do Wallonów belgijskich i do Francuzów, aniżeli do Niemców.

Cóż z tego? Po przedwczesnym ewakuowaniu Nadrenii przez Francję, centralne władze niemieckie, jeszcze wówczas „demokratyczne", obejmując Nadrenię, policiły wyrżnąć wszystkich separatystów, którzy nie byli na tyle ostrożni, by wyjść razem z Francuzami.

Podobnie było z Zagłębiem Saary, w którym plebiscyt w r. 1935 wypadł fatalnie dla Francji, a wszystkie żywioły frankofilskie przez długie lata jeszcze cierpiały prześladowania, o ile nie zostały zlikwidowane natychmiast po plebiscycie.

Oby i tym razem nie skończyło się tylko na deklaracji o francuskiej granicy na Renie.

Rexiści belgijscy odpowiadają obecnie za wszystkie zbrodnie przeciw narodowi i państwu, popełnione podczas wojny wespół z gestapo. Ostatnio sąd w Brukseli skazał na śmierć aż 70 rexistów. Tylko ich przywódca Degrelle, siedzi bezpiecznie w Hiszpanii.

I pomyśleć, że pierwotnie ruch rexistowski miał podłoże ultra-katolickie. Podobnie i ultra-nacjonalizm Charles'a Maurrasa zaprowadził go pod gilotynę.

Karafka i źródło

W poprzednim felietonie („Tydzień" Nr 6)) usiłowałem przystąpić do pojęcia „irracjonalizmu", z którym toczymy dziś walkę, przeciwstawiając mu zdrowy, życiowy „realizm". Nadmieniłem, że niektórzy nazywają irracjonalizm „przeklętym polskim irracjonalizmem", jak gdyby był on wyłączną własności i niejako kalectwem duchowym Polaków. Zaznaczyłem, że ci, co wojują z irracjonalizmem, nie formułują w sposób jasny jego pojęcia: staje się ono niekiedy „słowem bez pokrycia", innym razem zaś, tak rozciągliwe, że można w nie wlać treść dowolną. Przytoczyłem zdanie krytyka angielskiego Ph. Toynbee, który świeżo — w swym studium p. t. „Projekt na mistrza" — wykłada, że jeśli kto chce zostać rzetelnym pisarzem, musi (oprócz talentu) poznać socjologię, ale i „doceniać pierwiastki irracjonalne w życiu jednostki i grup". Więc chyba irracjonalizm nie może być tylko przeklętą cechą Polaka, skoro trzeźwy i realny Anglik zaleca brać go pod uwagę?

Gdym tamto wszystko napisał, ukazał się Nr 32 „Odrodzenia", a w nim artykuł Juliana Przybosia p. t. „Szkiełkiem i okiem". Przyboś prowadzi w nim dysputę z Janem Kottem, który jest czcicielem realizmu i zarzuca Przybosiowi, jakoby ten był zwolennikiem „mistycznego odczuwania sztuki", a więc w swoim rodzaju irracjonalistą. Przyboś broni się przeciw temu zarzutowi. Ale mnie zaciekawiła nie ta polemika, aczkolwiek na podkreślenie w niej zasługuje ostatnie słowo Przybosia. „Jestem za bujnym życiem sztuki, t. j. za obfitością wielu różnorodnych i walczących kierunków. Nie znoszę tylko demagogii i nieodpowiedzialnej frazeologii". Interesujący jest w artykule Przybosia ustęp, gdzie opowiada on o wizycie, jaką złożył niedawno w redakcji „Odrodzenia" redaktor radzieckiego miesięcznika „Oktiabrj" — p. Panfierow. „Zapytany — pisze Przyboś — co to jest **socjalistyczny realizm**, dyskutowany w Związku Radzieckim od wielu lat, Panfierow odpowiedział, że nie wie. I dodał: „jeśli ktoś wam powie, że wie, to żądajcie żeby powiedział". Otóż to. Nasi zaprzeczyciele irracjonalizmu zwalczają go w imię realizmu, i oczywista—realizmu nowoczesnego, socjalistycznego. Okazuje się, że ci, śród których ten realizm się narodził — ludzie radzieccy, marksiści, lewicowcy, stalinowcy — nie wiedzą jeszcze, co to realizm, chociaż od lat o nim mówią. A Kott na przykład, albo ktoś inny u nas odrazu już wie, co to takiego. Potwierdzałoby to wprawdzie opinię Przybyszewskiego o nas, że jesteśmy najbardziej inteligentnym narodem w Europie (mniej więcej to samo mówił Słowacki: pawiem narodów jesteś i papugą), z drugiej jednak strony — spróbujemy pomyśleć w ten sposób: jeśli na jednym krańcu Europy Anglik radzi doceniać irracjonalizm, na drugim jej krańcu Rosjanin nie umie jeszcze określić realizmu, to my jako leżący w środku, możebyśmy się zdobyli na własne zdanie — przypuśćmy, kompromisowe, i powiedzieli sobie po prostu, po chłopsku, że irracjonalizm i realizm, to niby „owych skrzydeł dwoje", o których napomykał już Mickiewicz w Improwizacji": „myśli moje, gwiazdy moje" — to niby realizm; „czucie moje, wichry moje" — to niby irracjonalizm. W sumie — człowiek cały, syntetyczny: homo sum et nihil humani a me alienum puto, jak mówi odwieczna, wytarta prawda. Skrzydła Mickiewicza są tym samym, co owe dwa rumaki platońskie — czarny i biały — ciało i dusza — którymi trzeba umiejętnie powodować, aby szły równo i rytmicznie. A powoduje nimi rozum.

Bywają takie dziwne okresy w życiu ludzkości, że gdy się nagle zjawia ktoś, kto zaczyna przemawiać truizmami, w sposób najprostszy — ten jedna sobie słuchaczów i wyznawców. Są to okresy schyłku, zmęczenia, wyczerpania, przemyślenia przez człowieka wszystkich myśli nawskroś, przeżycia wszystkich możliwych przeżyć, doznania wszystkich możliwych doznań. Należy sądzić, że takim np. okresem były czasy rozkładu świata starożytnego, gdy zjawił się Chrystus i począł zwyczajnie mówić, co to jest miłość, i co to jest prawda — rzeczy dobrze znane i tyle razy doskonale przedyskutowane przez największych filozofów starożytności. To, co mówił Chrystus, było właściwie irracjonalizmem, lecz stawało się realizmem, gdy ludzie to przyjmowali, krzewili, poświęcali się temu, ginęli za to.

Wydaje się, że Rewolucja Francuska czyniła podobnie. Mówiła ludziom rzeczy irracjonalne — jak wolność, równość, braterstwo — irracjonalne, bo nieosiągalne, bo nie wcielone dotychczas w życie, bo będące tylko tęsknotą, dążeniem, nieraz marzeniem, graniczącym z utopią. A w gruncie są to sprawy proste: to są prawdy, truizmy, którym chcemy koniecznie dać kształt realny. I sztuka — prawdziwa, wielka sztuka jest też irracjonalna, bo ukazuje ideały. I jest realna, bo ideały, tak czy inaczej, znajdują stopniowo swój wyraz w życiu. Tak samo rzecz się ma z poezją. Ajschylos i Dante, Szekspir („są rzeczy, o których się nie śniło filozofom") i Goethe, Mickiewicz i Tolstoj — są irracjonalni i realni. Myślę, że i Lenin jest w pewnym sensie irracjonalny, i mocy irracjonalizmu nabrał kult jego śród narodów Związku Radzieckiego. Ale Lenin był realny, i realne jest to, czego Rosję nauczą.

Irracjonalna jest również wiedza — dokładniej mówiąc, owa rzeczywistość przyrodzenia, którą wiedza pragnie poznać. Podobno od najdalszych mgławic, uchwytnych jeszcze dla teleskopów współczesnych (a jest ich bezmiar nieuchwytnych), światło biegnie do nas 140 milionów lat z szybkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę. Tak twierdzą wielcy astronomowie (ludzie nauki — więc realni) i dodają, że są to liczby irracjonalne, albowiem ogarnąć ich i pojąć rozumem nie możemy. Podobno w matematyce są t. zw. liczby rzeczywiste i liczby urojone czyli irracjonalne, a przecie matematyka jest nauką bardzo ścisłą i realną. Wygląda na to, że i atom, i jego rozbijanie, i bomba atomowa — to sprawy irracjonalne. Ale dość o tym, bo mogę się zapłatać w metafizykę, jak ten mądrala z bajki, który wpadł do jamy i zaczął rozmyślać, co było przyczyną jego wpadu: czy siła dośrodkowa, czy parcie powietrzne, czy też ciążenie powszechne. Widzę, że irracjonalizm rzeczywiście trudno zdefiniować, i czuję mgliście, że prawdę rzekł Norwid w swej przypowieści o karafce, która jest rzeczą realną, i o źródle, bijącym niewiedzieć skąd z ziemi — a więc irracjonalnym niejako. Z karafki — powiedział — łatwo się napić, przechyliwszy ją do ust; ale kto chce pić ze źródła, musi uklęknąć i pochylić głowę.

Jerzy Wyszomirski

ŚWIATŁA I CIENIE ODBUDOWY WARSZAWY

Dnia siedemnastego stycznia 1946 r. i następnych wszystkie drogi, prowadzące do miasta, były jakby wstęgami niekończących się procesji. To Warszawiacy wracali tłumnie do swych „domostw".

To co zobaczyli, to już nie było swoje, kochane miasto. To był trup, wygrażający w niebo kikutami spalonych kominów. Ale ludność powróciła i postanowiła zostać na ruinach i przesądziła taki los Warszawie — Warszawa będzie stolicą! Oto rzucone miastu hasło przez rząd, które utwierdziło postanowienie ludności w tej wierze, że Warszawa nie będzie tylko miastem, lecz jak od wieków — stolicą całej Polski.

JAK ODBUDOWYWANO MIASTO PRZED 40-TU LATY

Tymczasem spójrzmy wstecz i przyjrzyjmy się, jak odbudowywano zniszczone miasto.

W Messynie byłem w pół roku po katastrofie w 1907 r. Główne ulice były zburzone doszczętnie. Katastrofa w Messynie, w której zginęło kilkadziesiąt tysięcy ludzi, a setki domów rozpadły się w gruzy, wstrząsnęła społeczeństwem całego świata. Cztery państwa: Francja, Anglia, Niemcy i Stany Zjednoczone stworzyły tam swoje własne osiedla barakowe. Robiło to wrażenie czegoś bardzo uporządkowanego, zwłaszcza, że baraki miały światło elektryczne, wodę i obsługę telegraficzną i telefoniczną, ulice szerokie, brukowane płaskim kamieniem i dogodne chodniki. Pierwsze baraki oddano do użytku bezdomnej ludności w drugim miesiącu po katastrofie. Znalazło w nich pomieszczenie z górą sto tysięcy ludzi — cała bezdomna ludność zgruchotanej Messyny. Niedługo w nich mieszkała. Trudno dzisiaj przytaczać dokładne daty, ale zdaje się, że wojna europejska nie zastała już ani jednego mieszkańca baraków.

Warszawa znalazła się w warunkach odmiennych. Jesteśmy zdani na własne siły.

Przyczyn osamotnienia w nieszczęściu jest wiele. Jedna, to czas powojenny i sytuacja polityczna. Druga, to niedowierzanie. My wiemy, że Warszawa jest najbardziej zniszczonym miastem na terenie wojny, ale z tych, co w niej nie byli, nikt sobie tego stopnia zniszczenia nie wyobraża. Potwierdzają nam to relacje zdumionych i przerażonych cudzoziemców — ba w samej Polsce orientują się tylko ludzie, którzy to na własne oczy widzieli. Wiceprezydent Warszawy, który świeżo wrócił ze Stanów Zjedn., wszędzie się z tym „niedocenieniem" klęski spotykał.

Trzecia przyczyna, to otrzaskanie się z nieszczęściem. Sześć lat zagłady ludzkości, jej mienia, jej kultury, jej osobników — stępiło nerwy, zagłuszyło odruchy czynnego współczucia, realnej pomocy, po którą z tysiąca miejsc wyciąga się ręce.

B.O.S. I POTRZEBY LUDNOŚCI

Żywotność miasta zwyciężyła. Osamotnieni, zbiedniali, wspierani tylko przez współziomków, zabraliśmy się sami do odbudowy.

Od pierwszej chwili zarysowały się różne tendencje. Życie prywatne dążyło do własnego kąta i własnego stragan; życie państwowe starało się o własny lokal biurowy, potem o pomieszczenie swych pracowników.

Większa rozbieżność wszakże istniała pomiędzy dniem dzisiejszym a przyszłością. Dzień dzisiejszy chciał mieszkań, „dużo, byle jak i prędko", przyszłość usymbolizowana w BOS-ie, stawiała na pierwszym planie zagadnienia urbanistyki. Teoretycy BOS'u przystępowali do planów tak, jakby to miasto wciąż jeszcze było zamknięte, martwe. Najchętniej ewakuowali by całą napływającą z powrotem ludność gdzieś na peryferie, aby ją wpuścić dopiero po latach, wtedy, gdy cała odbudowa będzie do ostatniej kreski ukończona.

Przypomina się sytuacja, wielokrotnie u nas spotykana. Dziedzic stawiał piękny pałac, ale jego fornal mieszkał w walącym się czworaku, bez podłogi i najprymitywniejszych wygód. Tym dziedzicem jest zespół szanownych może skądinąd „bosowych" urbanistów, teoretyków, ale ale tymi fornalami jestemy właśnie my mieszkańcy Warszawy.

Wszyscy chcemy pięknej Warszawy, ale tymczasem chcemy mieszkać — chcemy mieć przynajmniej te pięć czy dziesięć metrów kwadratowych, które nam się z ustawy należą, a które w obecnych warunkach są największą z iluzji na ekranie urzędu kwaterunkowego.

Jako przyszli mieszkańcy pałaców możemy tymczasem, w oczekiwaniu na piękne chwile, pomieszkać w barakach. Nie będziemy gorsi od Messyńczyków. Zresztą sporo rodzin mieszka w domkach fińskich i bardzo sobie te mieszkania chwalą. Zwłaszcza na terenie szpitala Ujazdowskiego są te domki rzeczywiście przyjemne. Więc i u nas zrobiono próbę i — rzecz ważna — próba się udała. A od tej udanej próby minął rok — i nic.

Domy spółdzielcze

Spotykamy się jeszcze z jedną formą odbudowy, bodaj w dzisiejszych warunkach najwłaściwszą. Pierwszy blok mieszkalny, jaki stanie w Warszawie, jest budowany przez Spółdzielnię na Żoliborzu. Zdaje się, że wciągając spółdzielczość do akcji odbudowy, zastosowano najodpowiedniejszą formę. Nie jest to forma nowa. Zdała egzamin w setkach kooperatyw, które zaludniły przed wojną kolonię Lubeckiego, ulicę Puławską i wiele innych dzielnic. Były to domy — jak np. Spółdzielnia Pracowników Ministerstwa Oświaty na Akademickiej — najlepiej administrowane w Warszawie. Spółdzielnia Żoliborska, która już na wiosnę odda wygłodzonym mieszkaniowo obywatelom stolicy więcej niż setkę mieszkań, robi robotę pionierską w obecnym okresie. Wskaże drogę, utoruje „chody" i niewątpliwie znajdzie naśladowców.

Próba spółdzielni żoliborskiej stanowi ogniwo pośrednie. Daje właśnie to, czego dzisiaj mieszkańcowi stolicy najbardziej potrzeba: mieszkanie nie luksusowe, ale ludzkie, nie pańskie, ale pracownicze. Daje świadomość, że wysiłek własny, ujęty w organizację celową, może być również owocny, jak wszelkie akcje państwowe lub prywatne. Nieodłącznym od swej struktury umiarem daje gwarancję demokratyzacji zagadnienia lokalowego, **które dotychczas było punktem pomiędzy etatyzmem a inicjatywą prywatną.** Spółdzielczość w tym wypadku jest tą oliwą, która chroni od zbytniego zagrzania. Ma ona jeszcze jeden walor, bardzo dzisiaj ważny: wciąga w akcję najszersze sfery społeczeństwa. Nabycie mieszkania w drodze starań prywatnych jest kwestią setek tysięcy, jest nieosiągalnym marzeniem; uzyskanie go w kooperatywie byłoby zagadnieniem realnym, dostępnym — przy kredytach i akcji pomocniczej — dla każdego zapobiegliwego pracownika.

Co zrobiono i czego jeszcze brak

Zapomnijmy na chwilę o projektowanych pałacach B.O.S. i o naszych mieszkalnych norach, o „dzielnicy naukowej" i gruzach ulicy Moniuszki, o oryginalnym sporze, czy metro w Warszawie wogóle będzie potrzebne — a spójrzmy sine ira et studio na miniony półtoraroczny okres.

Pierwszego marca zeszłego roku przychodziłem do domu poprzez góry ruchomych cegieł nieopodal poselstwa czechosłowackiego na Koszykowej, z pewną obawą czy jakiś dalszy kawał muru nie leci mi na głowę. Dzisiaj idę tam po równym chodniku, nie myśląc o niebezpieczeństwie.

Przychodziłem wtedy do domu, zapalałem świeczkę i siedziałem otulony kocem, bez wody i możliwości zagrzania herbaty, dzisiaj mam okno oszklone — co jest moją zasługą — ale mam także światło i wodę w kranie w kuchni i funkcjonującą wspólną łazienkę, a nawet obiecują gaz, co jest zasługą odbudowy.

Pierwszego marca zeszłego roku chodziłem po mieście pieszo — dzisiaj mam do dyspozycji kilkanaście linii tramwajowych we wszystkich kierunkach.

Zeszłoroczne wiosenne wody z roztopów stały tygodniami we wklęsłościach ulic, dziś wody odpływają wyremontowanym burzowcem i w pół godziny po ulewie suchą nogą przechodzę z jednej strony ulicy na drugą.

Podobne przykłady można by przytaczać, jak w litanii. To są te jasne punkty odbudowy, które... kryją się w cieniu.

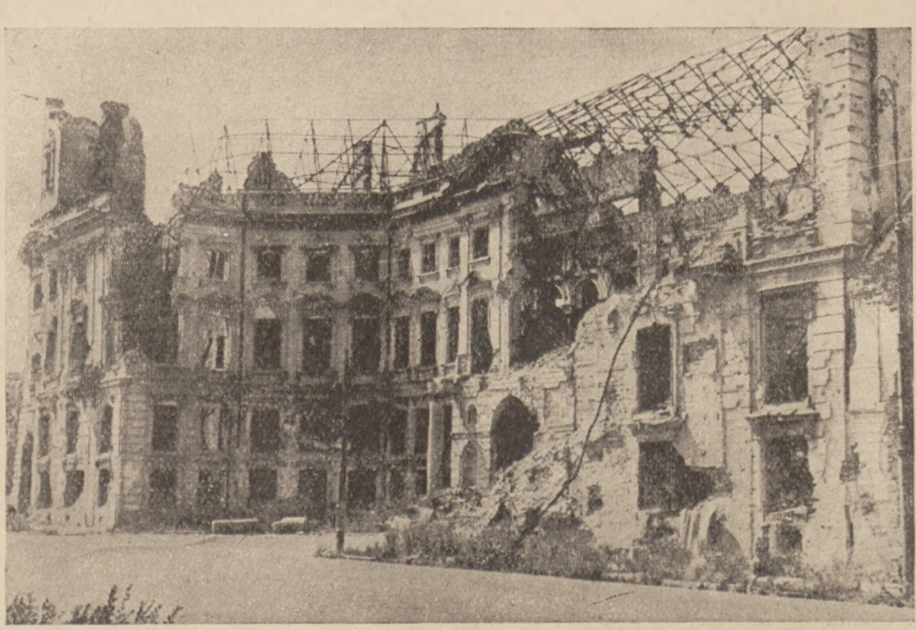
Bo przecież mało kto, jadąc dziś mostem Poniatowskiego, zdaje sobie sprawę, że przed paru tygodniami jeszcze tego mostu nie było i jeździło się po moście „wysokowodnym", kwadransami oczekując kolejności... I mało kto przypomina sobie te nieprawdopodobne wehikuły, które nas do niedawna woziły do kolejki grójeckiej, albo te radosne chwile, kiedy pierwszy raz zaczęła z kranu kapać (brudna jeszcze) woda!

Nie bądźmy niesprawiedliwi: na wielu odcinkach zrobiło się wiele, a właśnie na tych najdotkliwszych, które automatycznie przechodzą w niepamięć z chwilą, gdy przestają dokuczać.

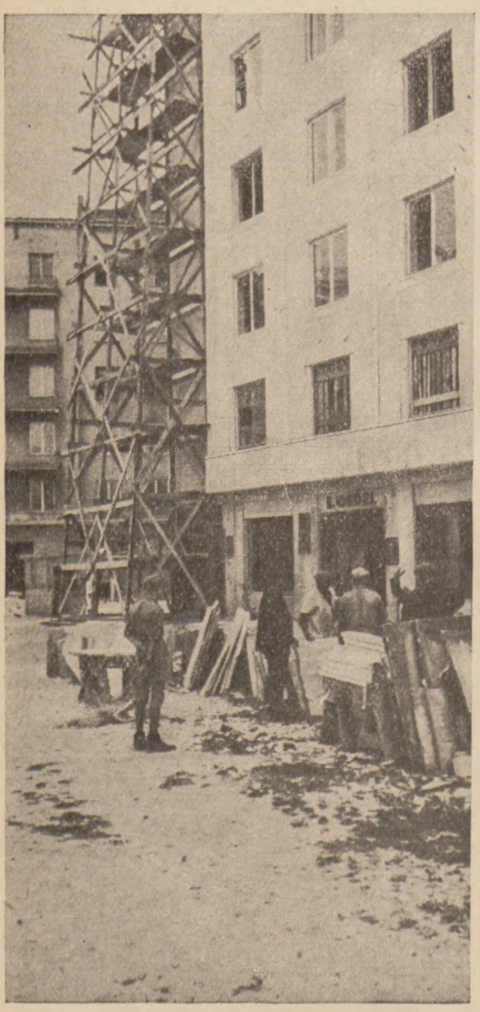
I jeśli ktoś załamuje ręce, że jeszcze ani jeden nowy dom nie stanął w Warszawie, to możemy mu z poczuciem słuszności odpowiedzieć:

Prawda. Na tym polu jest jeszcze nieporozumienie. Ale w dziedzinie, która się technicznie zowie „uzbrojeniem terenu", dokonaliśmy już dużo.

Andrzej Ziemięcki



Ruiny ratusza warszawskiego, zniszczonego podczas powstania przez Niemców



Remont domu przy ul. Puławskiej przeprowadzany przez B.O.S.



Rozbiórka ruin 5-piętrowej kamienicy na ul. Marszałkowskiej

JAK GENERAŁ RYDZ-ŚMIGŁY ZOSTAŁ MARSZAŁKIEM

Gdy na wiosnę 1935 r. marszałek Józef Piłsudski, obezwładniony przez przewlekłą chorobę raka, kończył kres swej wędrówki ziemskiej, obóz sanacyjny nie był jednolity i harmonijnie zgrany.

Prezydent Ignacy Mościcki nie miał żadnych wpływów w obozie piłsudczyków.

Dziewięć lat był posłusznym prezydentem, nic więc dziwnego, że po cichu wzdychał do pełnej władzy. Marzenia te spotęgowały się, gdy po dłuższych rozmowach z Belwederem pojął, po śmierci pierwszej małżonki, młodą i ambitną żonę, która też chciała być prawdziwą prezydentową, by odegrać rolę pierwszej damy w Rzeczypospolitej.

— Nie rozumiem Mościckiego — miał odezwać się dyktator — zachciało mu się napić piwa i chce kupić sobie cały browar. Dowcip ten kolportowany usilnie przez plotkarzy sanacyjnych wraz z serią pikantnych historyjek na temat rządów prezydentowej na Zamku krążył po całym kraju.

Po śmierci marszałka Piłsudskiego nastąpiły w obozie sanacyjnym rozgrywki, które rozpoczął ówczesny premier Walery Sławek, który uchodził za najwierniejszego i najposłuszniejszego piłsudczyka. Spełniał on bez wahania każde życzenie i wszystkie rozkazy Piłsudskiego. Zbyt często zanosił je na Zamek, aby był mile tam witany i widziany przez prezydenta Mościckiego i jego małżonkę. Były to właściwie nie życzenia, a rozkazy, które Mościcki musiał posłusznie spełniać.

Walery Sławek, właściwy twórca i wódz obozu sanacyjnego, nie cieszył się sympatią wszystkich piłsudczyków, szczególnie kół wojskowych. Jego ścisły związek z konserwatystami, których wprowadził do obozu sanacyjnego, mierził piłsudczyków o zabarwieniu radykalnym. Boczono się również na niego za niedopuszczanie wybitnych piłsudczyków do rozmów z marszałkiem. Wypominano mu, że uniemożliwił Śmigłemu złożenie wizyty w Belwederze, by poinformować o żałosnym stanie zbrojeń w armii polskiej marszałka Piłsudskiego.

Zarzuty te pochodziły z grupy, która szeptała, że naczelne dowództwo po marszałku Piłsudskim należy się generałowi Rydzowi-Śmigłemu i że to jest właściwie życzenie zmarłego. Faktyczną ostoją tej grupy był pułkownik Bogusław Miedziński, wówczas naczelny redaktor „Gazety Polskiej", nazywany popularnie, szczególnie odkąd Rydz-Śmigły został naczelnym wodzem, szarą eminencją rządów sanacyjnych. Z grupą tą związany był między innymi Beck, Matuszewski, Sławoj-Składkowski.

Samotnie chadzał gen. Sosnkowski, napiętnowany mianem „słabego człowieka" od czasu rewolucji majowej, gdy, nie chcąc ruszyć pułków poznańskich na pomoc Piłsudskiemu, targnął się na swoje życie w Poznaniu. Tej „słabości" nie wybaczył mu do końca swego życia Piłsudski, a prawie wszyscy piłsudczycy, którzy niegdyś dawnego szefa sztabu Pierwszej Brygady uważali za następcę marszałka, odsunęli się od niego. Choć za czasów widomej choroby Piłsudskiego nawiązała się, zresztą dość luźna, łączność między Rydzem-Śmigłym a Sosnkowskim wywołana tajemniczymi obrzędami Sławka przy chorym wodzu w Belwederze, nie przybrała jednak konkretnych kształtów. Sosnkowski nie mógł marzyć o stanowisku naczelnego wodza armii po śmierci Piłsudskiego.

Tak mniej więcej wyglądał układ sił w obozie piłsudczyków, gdy nieubłagana śmierć zamknęła wieczorem 13 maja 1935 r. na wieki oczy marszałka Piłsudskiego.

Tej samej nocy rozstrzygnęła się walka o jego następcę na stanowisko naczelnego wodza. Zbolały premier Sławek, który wraz z rodziną dyktatora, przybocznym lekarzem i najbliższą świtą czuwał przy łożu umierającego, przybył na Zamek, by zakomunikować prezydentowi smutną wieść żałobną.

— Panie prezydencie! Spełniam smutny obowiązek poinformowania pana prezydenta o śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego, naczelnego wodza armii polskiej — wyszeptał.

Prezydent milcząc, skłonił głowę. Już przedtem przetrawił w sobie tę żałobną wieść — łącznicy zamkowi w Belwederze przywieźli ją wcześniej, niż Sławek.

— Czy jest testament marszałka — zapytał po chwili milczenia — w sprawie następcy?

Zbolały Sławek milczy, jakby nie dosłyszał pytania.

— Panie premierze — ponawia po chwili prezydent — pytam, czy marszałek wyznaczył następcę na stanowisko naczelnego wodza. Mówiono przed śmiercią o testamencie...

Walery Sławek mocując się ze sobą, mówi:

— Testamentu nie ma... Właściwie marszałek wspominał często przed śmiercią generała... Dąb-Biernackiego, chwaląc jego talenty wodzowskie i zdolności organizacyjne. Była to wskazówka...

— Nigdy mi marszałek — przerywa Mościcki, orientując się, że jest to kandydatura Sławka: — nie wspominał o takim generale...

— To wybitny generał, który odegrał wielką rolę w naszych wojnach. Jest inspektorem armii i dowódcą D.O.K. Wilno. Mogę panu prezydentowi dostarczyć więcej szczegółów o nim...

Narazie, panie premierze, muszę się naradzić z panią marszałkową. Wiem, że zmarły marszałek często wywnętrzał się ze swych trosk przed swą małżonką. Zna ona doskonale jego bliskich i trafnie ich ocenia.

Jeszcze tej nocy Mościcki połączył się telefonicznie z Belwederem, nawiązał rozmowę z panią Aleksandrą Piłsudską i powtórzył jej swą rozmowę z premierem Sławkiem. Zdziwiona sugestiami Sławka odpowiedziała:

— Nigdy z ust męża nie słyszałam o generale Dąb-Biernackim, jako kandydacie na naczelnego wodza. Owszem, często mówił o Rydzu-Śmigłym, wspominał z żalem o załamaniu się Sosnkowskiego, był przekonany o wielkich talentach Sikorskiego, choć traktował go jako odstępcę, ale o Dąb-Biernackim...

— Pani marszałkowo, czy mogę pani oświadczenie zakomunikować premierowi Sławkowi?

— Owszem, panie prezydencie. Ja sama przy sposobności mu to powtórzę.

Być może, że niezbyt ściśle oddaliśmy tok rozmów, które miały miejsce między wymienionymi osobistościami w parę godzin po śmierci Piłsudskiego, za to odsłaniają one jądro zagadnienia, o które toczyły się tej nocy rozgrywki.

Mościcki po rozmowie z panią Piłsudską poczuł się wzmocniony — ta prawdziwa przyjaciółka jego pierwszej żony nie opuści go. Choć marszałek nie żyje, głos jego wdowy w obozie piłsudczyków jeszcze wiele będzie ważył.

— Zresztą nowa konstytucja wyposażyła mnie — rozumował — w wielkie prerogatywy. Ponieważ marszałek nie wskazał swego zastępcy, ja jako prezydent zadecyduję o jego wyborze i nominacji.

— Kogo wybrać — Rydza-Śmigłego czy Sosnkowskiego?

Wtedy Ignacemu Mościckiemu przyszły na pamięć wspomnienia z okresu dziewięcioletniej prezydentury, podczas której musiał słuchać i spełniać to, co mu kazano. Wzdrygnął się i pomyślał:

— Czas najwyższy, abym się poczuł naprawdę głową państwa. Wezmę na swoje barki całkowitą odpowiedzialność przed historią za losy państwa i narodu...

Z długogodzinnych rozmyślań podczas bezsennej nocy zrodziła się decyzja — wodzem naczelnym będzie Rydz-Śmigły.

Dlaczego Rydz-Śmigły, a nie Sosnkowski?

Dwa względy zadecydowały o tym. Na Sosnkowskiego boczyły się pewne koła piłsudczyków za jego słabość podczas zamachu majowego. Prócz tego indywidualność Sosnkowskiego, który przejawiał talenty i zainteresowania nie tylko wojskowe, ale i polityczne, trudniejsza była do kierowania. A Mościcki marzył o pełnej władzy prezydenckiej, tak jak ją określała przemycana przez obóz sanacyjny nowa konstytucja. Uważał Rydza-Śmigłego, przyjmującego nominację z jego rąk, za słabą indywidualność, którą łatwiej nagiąć do swoich celów. Dlatego zdecydował się na Rydza-Śmigłego.

Cóż porabiał Rydz-Śmigły tej historycznej nocy?

Powiadomiony przez wywiadowców i łączników grupy pułkownika Miedzińskiego o zamiarach Sławka i o treści rozmów prezydenta Mościckiego z panią Piłsudską, postawił na nogi część garnizonu warszawskiego. Na wszelki wypadek, gdyby Sławek próbował przeprowadzić swe plany drogą faktów dokonanych.

Nie doszło jednak do tego. Sławek, czując swą słabość na terenie wojska, poddał się decyzjom Mościckiego — Rydz-Śmigły objął naczelne dowództwo w armii.

Nazajutrz przy trumnie zmarłego wodza Rydz-Śmigły spotkał się z generałem Sosnkowskim. Ten ostatni, uznając decyzję prezydenta Mościckiego, stanął przed generałem Rydzem-Śmigłym na baczność. Nowy wódz wyciągnął do Sosnkowskiego rękę, który ten serdecznie uścisnął. Był to zarazem akt odnowienia starej przyjaźni i zaproszenie do współpracy w armii.

Czy nadzieje Mościckiego na posłuszną pracę gen. Rydza-Śmigłego ziściły się? Nie. Dlaczego? O tym w następnych rozdziałach.

Z. Kiełczewski

UNRRA *na straganie*

Sytuacja żywnościowa w Grecji nie różni się wiele od położenia we Włoszech. Przeciętne wyżywienie mieszkańca każdego z tych krajów nie odbiega w swej wartości kalorycznej od średniej spożywanej przez naszych robotników. Fotografie ilustrujące nielegalne lub nawpół legalne rynki żywnościowe w tych krajach mogłyby z równym powodzeniem odnosić się do każdego z nich. Dziewczyna sprzedająca amerykańskie papierosy na ulicy jest tak samo rozpowszechnionym typem w Atenach, Rzymie i Warszawie. Chleb jest równie drogocennym darem w Grecji, we Włoszech i u nas. Możemy jednak z zadowoleniem stwierdzić, że nie widać w naszych miastach sklepów przepełnionych idącymi na pasek darami UNRRY, jak to ma miejsce w Grecji, gdzie doprowadziło to do wstrzymania dostaw.



Sprzedawczyni amerykańskich papierosów w Rzymie



Sklep sprzedający towary UNRRA z wolnej ręki w Atenach

Trudno dziś przewidzieć, czy serca przedstawicieli Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanady wzruszą się losem dzieci polskich, jugosłowiańskich i greckich w jednakowym stopniu i umożliwią im dalsze korzystanie z dobrodziejstw pomocy płynącej dotychczas za pośrednictwem UNRRY.

Miejmy nadzieję, że sprawy byłych sojuszników pozostaną bliższe ich sercu, niż troska o pozyskanie sympatii Niemców i Japończyków.

We Włoszech na wielu ulicach można odczytać wymalowane kredą napisy, dowodzące całkowitego zaniku zmysłu odpowiedzialności społecznej „VIVA BACCO E VENERE" — Niech żyje wino i miłość. My musimy sobie powiedzieć, że bodaj kosztem rozrywki i przyjemności należy wzmóc nasz wysiłek, by żaden Polak nie zginął z głodu nawet w wypadku jeśli pomoc żywnościowa zza morza ustanie przedwcześnie.

W. P.

Kronika Kulturalna

DOTARŁ do nas jeden z ostatnich zeszytów miesięcznika paryskiego „Revue de Paris", liczący sobie, jak wiadomo, przeszło pół wieku. Spośród licznych jego artykułów i esejów wyróżnia się studium p. Pierre Frèderix'a o procesie norymberskim. Oto wnioski, jakie on wyciąga: „Ostatecznie, wyrok nie będzie ogłoszony przez prawników. Będzie wydany przez sumienie powszechne. Dowiemy się, że skazanie ludzi, bezpośrednio odpowiedzialnych za przestępstwa pewnego państwa, jest nie tyle nowością w prawie międzynarodowym, ile ważnym etapem w jego logicznym rozwoju. Niewątpliwie, życie czy śmierć dwudziestu jednego oskarżonych w Norymberdze nic nie znaczy wobec kataklizmu, który oni wywołali. Ale być może, że wchodzimy w nową erę. Dzień, kiedy Goering, Frank czy Ribbentrop będą straceni, zapisze się w dziejach prawa międzynarodowego jako rewolucja, podobna do tej, którą w dziejach wojen spowodowało zrzucenie pierwszej bomby atomowej".

Jak się zdaje, nikt z polskich korespondentów norymberskich — jakże licznych i płodnych w pisaniu — nie ujął procesu od tej strony.

●

POŻYTECZNA jest rubryka „Czy wiecie, że...", prowadzona przez niektóre dzienniki i czasopisma. Podaje ona nieraz takie ciekawostki historyczne, kulturalne czy obyczajowe, które nie tylko zbogacają wiedzę szarego człowieka, ale i niejednemu uczonemu mogą się przydać. Rubryka jednak musi przestrzegać ścisłości i opierać się na doskonale autentycznym materiale, aby czytelnik miał do niej zaufanie. „Głos Ludu" w swoim „Czy wiecie" nie zawsze dopełnia tych warunków. Tak np. Hamleta nazywa duńskim „Wikingiem"; oznajmia, że elekcja Stanisława Augusta odbyła się w r. 1781, wówczas gdy miała miejsce w r. 1764, albo powiadamia, że pierwsze biuro „kontroli prasy" powołane zostało do życia przez Fryderyka II. Niesłusznie. Za czasów monarchistycznych i absolutystycznych istniała tylko cenzura policyjna. Biura czy też urzędy „kontroli prasy" — powstały znacznie później.

●

„BAL W OPERZE" Tuwima, napisany przed wojną i drukowany dopiero dziś w całości w „Szpilkach", jest rzeczywiście apokaliptycznym pamfletem na ostatnie podrygi obyczajności polskiej (i europejskiej) przed kataklizmem dziejowym, jakiśmy dopiero przeżyli.

W swych nastrojach przypomina on niekiedy oryginalną książkę Georges Anquetil'a p.t. „Satan conduit le bal" („Szatan prowadzi bal"), wydaną w r. 1925; niekiedy — „Koniec świata" Gałczyńskiego. Ale czasami traci jak gdyby sławetną „Piczomirą" Fredry. Np., w takich zwrotkach: „Z facjatki budy drewnianej tłusta panna wygląda: — Która godzina, gówniarzu? — Piąta, kurwo, piąta" — Wszelako pomiędzy Tuwimem a Fredrą w podobnych ustępach zachodzi ta różnica, że Fredro brał rzeczy z jurnym, rejowym czy rabelesowym humorem, Tuwim zaś ujmuje je eschatologicznie, a więc posępnie i upiornie ściśle w duchu Apokalipsy, której werset służy za motto do „Balu". Stąd też nie wywołują one śmiechu, jak u Fredry. Przeciwnie — budzą smutek i apokaliptyczne westchnienie: vanitas vanitatum.

St. Łatka

Fotomontaż na stronie 1-ej przedstawia: zdjęcie dolne — pałac Łazienkowski w odbudowie; górne lewe — przerwa podczas pracy przy rozbiórce domu; górne prawe — część placu Unii Lubelskiej po odrestaurowaniu.

POŻEGNANIE WARSZAWY

Dalszy ciąg fragmentów z mającej się ukazać książki p.t. „Moje wspomnienia z konspiracji i Powstania" Kpt. Ognistego

W dniu 29 września o g. 14, jak donosi w raportach por. Prut zgłosił się przed jego stanowiskami oficer niemiecki, początkowo za pomocą „tuby", następnie osobiście z odległości 15 mtr. i prosił o zaprzestanie ognia, ponieważ Niemcy nie strzelają — z uwagi na to, że ich generał dowodzący w Warszawie prowadzi pertraktacje z naszym generałem. W związku z tym wysłałem pismo do d-cy zgrupowania płk. Tunguza. Wkrótce potym otrzymałem następujący rozkaz:

M.P. 29.IX.1944 r.

Armia Krajowa
Oddział kapitana Gozdawy
Kapitan Prus
por. Prut

Podaję rozkaz płk. Tunguza z dnia dzisiejszego godzina 16 w dosłownym brzmieniu. W związku z meldunkiem prowadzenia rozmów z Niemcami nakazuję czujność, wzmocnienie posterunków i nieprowadzenie rozmów dalszych."

Wszelkie wystąpienia nieprzyjaciela likwidować, nie zezwalać na spacery i t.p. O żadnych rozmowach nie wiem. Trzeba tkwić na posterunku spełniając zadanie dotychczas polecone.

Dowódca Gozdawa kpt.

Tutaj należy wspomnieć, że dowództwo oddziału Gozdawy przygotowywało już od dnia 6 września przebicie się oddziałów na Pragę poprzez tunel kolejowy po opanowaniu BGK. Myśl ta powstała po odkryciu przez ppor. Klimonta dojścia do tunelu kolejowego na rogu Bracka — Al. Sikorskiego. Cała akcja była pomyślana w ten sposób, że po opanowaniu BGK przez uderzenie podziemiami — tunelem kolejowym w pierwszym rzucie, a następnie uderzeniem górą na BGK i po opanowaniu załogi nieprzyjaciela — oddziały nasze miały ruszyć pod osłoną nocy wzdłuż Alei 3-go Maja — jedne górą — drugie tunelem aż na Solec, a stamtąd przebijając się między mostem Poniatowskiego i Kolejowym do Wisły, gdzie miał być stworzony przyczółek do przeprawy na Pragę. Akcja przygotowawcza była prowadzona w wielkiej tajemnicy.

Przy włazie tunelu pełnili obserwację wyłącznie ppor. Klimont i ppor. Pietrzak na zmianę. Z tego miejsca otrzymaliśmy dokładne wiadomości, kiedy Niemcy mieli zmianę i dosyłaną pomoc z Dworca Głównego do BGK drogą kanałową. Zostały sporządzone plany uderzenia i przesłane do D-cy Zgrupowania.

Dla uzgodnienia akcji osobiście udałem się do mjr. Zygmunta i kpt. Lecha Żelaznego, którego oddziały trzymały Pocztę Towarową i odcinek ul. Żelaznej — Towarowej. Chodziło nam, aby oddziały te współdziałały z naszymi oddziałami poprzez Dworzec Główny. Do projektu tego kpt. Lech Żelazny ustosunkował się z entuzjazmem, jedynie chodziło o „górę" czy plan zaakceptuje.

Dnia 30 września wysłane zostało ponownie pismo w tej sprawie.

Tymczasem zamiast realizacji naszego planu przebicia się do Wisły i mimo naszego nastawienia do dalszej walki, aż do zwycięskiego końca z odwiecznym wrogiem — nieoczekiwanie otrzymaliśmy rozkaz Komendy Głównej zaprzestania walki, a następnie kapitulacji.

W związku z tym kpt. Gozdawa wydał ostatni rozkaz batalionowy, który przytaczam w całości:

M.P. dnia 4.10. 1944 r.

Armia Krajowa
Batalion kpt. Gozdawy
Żołnierze oddziału kpt. Gozdawy!

Wasza miesięczna walka, najpierw na redutach — Miodowa, Ratusz, Kanoniczki, Bank Polski i Matki Boskiej, a potem bohaterskie zmagania na Wareckiej, Górskiego, Chmielnej i Brackiej jest skończona. Waleczność Wasza jest podziwiana przez inne oddziały. Walka w Stolicy, pod ciosami śmierci i zniszczenia z takim uporem przez nas prowadzona, wysuwa się na czoło sławnych czynów bojowych przez żołnierza polskiego podczas tej wojny dokonanych. Dajemy nią dowód mocy naszego ducha i naszego umiłowania wolności i chociaż zwycięstwa nie uzyskaliśmy, to jednak nasza walka dokonała swego zadania politycznego i ideowego.



Powstańcy w obozie w Murnau

Dziękuję Wam, żołnierze, moi najmilsi towarzysze walk za Waszą dzielną postawę, nieugiętość w walce, trud i mękę dla wspólnego nam celu odzyskania niepodległości. Dziś, gdy los zgotował nam tak ciężkie, zwłaszcza dla żołnierza, przeżycia, żegnam Was z wiarą głęboką, że zobaczymy się wkrótce w Wolnej i Niepodległej Polsce.

D-ca Batalionu
Gozdawa kpt.

DO OBOZU

Okres przeszło dwumiesięcznej walki został skończony, walki najszczytniejszej i jednocześnie najtragiczniejszej w naszej historii. Walczyliśmy o najwyższe ideały narodu — wolność, za którą zapłaciliśmy największą ceną krwi i oddaliśmy ją bez wahania. Następuje dla nas nowy etap żołnierskiego i narodowego tułactwa.

Dnia 5 października 1944 r. o godz. 11-ej opuszczają nasze oddziały swoje stanowiska bojowe, pozostawiając to, co jest dla nas najdroższe: ruiny ukochanego miasta, groby i szczątki poległych towarzyszy broni. Zwarte oddziały wychodziły z Warszawy tymi samymi szlakami, jak we wrześniu 1939 r. Na twarzach ich rysuje się zaciętość i rozterka duchowa. Po drodze spotykamy ludność cywilną, która dodaje nam otuchy w wędrówce w nieznane — słowami: „Wracajcie". Słowa te wyciskają łzy wśród niewiast powiewających chusteczkami. Maszerujemy z bronią ul. Grzybowską do Chłodnej, wszędzie po bokach stoją gęsto posterunki niemieckie. Wpatrujemy się dumnie w oczy wrogów, czujemy wyższość nad nimi, aczkolwiek zostaliśmy pokonani w nierównej walce.

Na Placu Kercelego składamy broń, którą opłaciliśmy bardzo drogo, bo własną krwią. Dlatego tak trudno było się z nią rozstać. Żegnamy ostatnie ruiny Warszawy, miasta wolności. Po drodze ludność obdarowuje nas owocami, cebulą, pomidorami itp., łapczywie zapełniamy kieszenie produktami, które od dwóch miesięcy były dla nas niedostępne. Tak dotarliśmy do Ożarowa.

Następnego dnia stłoczono nas po 50 - 65 do wagonów towarowych, które zaplombowano i obstawiono silnymi posterunkami. Pociąg ruszył na zachód. Przez szpary śledziliśmy kierunek drogi. Na stacji w Rogowie udało mi się wyrzucić list do żony.

Mijamy Częstochowę, Herby Śląskie, Lubliniec i Opole. Nazajutrz o godz. 8 rano pociąg zatrzymał się za Opolem w lesie, słychać było syreny alarmowe. Nalot. Po chwili dochodzi do nas ogromny szum motorów, Niemcy wyskakują z pociągu i kryją się w lesie. Po kilkugodzinnym postoju pociąg rusza dalej. Dojeżdżamy wreszcie do stacji Lamsdorf, obecnie Lambinowice, gdzie pociąg zjeżdża na boczny tor. Była godz. 20. Cała stacja silnie obstawiona wojskiem, słychać komendę „aussteigen". Ustawiamy się piątkami i ruszamy grupami po 100. Zmęczenie po nieprzespanej nocy ogromne. Maszerujemy długim rzędem wśród lasów i bagien. Po drodze staramy się zdobyć choć trochę wody, lecz nikt tutaj nie jest czuły na „cudze bóle". Po drodze kilku mdleje, zostawiając swoje paczki pod „opieką" Niemców. Wreszcie widzimy druty kolczaste, ciągnące się na ogromnej przestrzeni od 8 — 10 km.

W OBOZIE

Po okrążeniu obozu zatrzymujemy się przed główną bramą, gdzie następuje generalna rewizja. Niemcy skrupulatnie przeglądają wszystko, zabierają niezbędne przybory codziennego użytku, a nawet ściągają z niektórych odzież. Po tej „czystce", trwającej do późnych godzin — wchodzimy na teren obozu, do baraków nas jednak nie wprowadzono, lecz zarządzono, że noc tę spędzimy pod gołym niebem. Wieczór był chłodny. Drobny deszcz na szczęście przestał padać i wyłoniło się piękne niebo gwiaździste. Tutaj przeżyliśmy drugi alarm lotniczy. Mimo ciemności dostrzegliśmy tysiące samolotów alianckich, — które kierowały się na Wrocław. Bombardowanie trwało parę godzin, niebo na olbrzymiej przestrzeni pokryte było łunami. O świcie ruszyliśmy do naszych baraków. Po drodze spotykaliśmy w sąsiednich barakach jeńców sowieckich, którzy witali nas bardzo serdecznie. Nazajutrz nawiązaliśmy kontakt ze wszystkimi naszymi sąsiadami. Jeńcy sowieccy urządzili dla nas koncert śpiewu i muzyki rosyjskiej, a nadto odśpiewali nam po polsku „Warszawiankę". Zorganizowaliśmy pośpiesznie zespoły chóralne przy udziale naszych śpiewaków jak: Krukowskiego, braci Markowskich i in. Te wzajemne popisy trwały do późnej nocy. Przeważnie śpiewaliśmy piosenki powstańcze. Po przeciwnej stronie za główną ulicą kwaterowały nasze łączniczki i sanitariuszki i z nimi też nawiązaliśmy korespondencję za pomocą poczty „przerzutowej", to jest list przyczepiało się do kamienia, w ten sam sposób otrzymywaliśmy odpowiedź.

MURNAU

Po dwutygodniowym pobycie w Lambinowicach przygotowano grupy do dalszego transportu. Oficerowie sztabowi wyjechali w pierwszej kolejce do Woldenbergu, a my w liczniejszej grupie, bo liczącej 750 oficerów wysłani zostaliśmy do Murnau. W dalszej podróży zatrzymano pociąg na stacji w Dreznie, gdzie pozwolono nam wyjść pod silną eskortą na stację po wodę, oczywiście boso, bo buty nasze były zdeponowane w ostatnich wagonach pociągu. Na sąsiednim torze stał długi pociąg sanitarny, wypełniony do ostatniego miejsca; wiózł transport rannych z dywizji SS. Goringa, która walczyła przeciwko nam w Warszawie. Przy zetknięciu się w tej dziwnej sytuacji omal nie doszło do starć. Ranni SS-mani i gestapowcy poprzez okna wagonu ogromnie oburzali się na nas i niektórzy z nich usiłowali użyć siły. Oddziały Wehrmachtu, które eskortowały pociąg przeszkodziły tym ekscesom. Po dwóch dniach podróży zatrzymaliśmy się w Norymberdze naprzeciwko wielkiego stadionu, gdzie Hitler odbierał defilady. Wszystkie budynki otaczające nas leżały w gruzach. Po trzech dniach ciężkiej drogi dojechaliśmy do Murnau, oddalonego o 50 km. na południe od Monachium. Za miastem na północnej stronie znajdował się obóz polskich oficerów z 1939 roku. Było tam zgrupowanych około 500 oficerów, w tym 40 generałów. Przywitanie z naszymi braćmi było niezwykle serdeczne.



Oficerowie polscy i francuscy w obozie w Murnau

Jak się później okazało w obozie w Murnau niemal od samego początku istniała potajemna prasa w której podawane były codziennie wiadomości z radia angielskiego. Aparat radiowy był zainstalowany w bloku „B" w piwnicy i tak ukryty w stołowej nodze, że Niemcy, mimo częstych rewizji nie mogli wpaść na jego ślad. Aparatura dotrwała szczęśliwie aż do odzyskania niepodległości.

Wiosną 1945 r. gazety niemieckie, przynosiły wiadomości o załamaniu się frontu na wschodzie i zachodzie. Straciliśmy wszelki kontakt z krajem, gdyż Warszawa i niemal cała Polska były już wolne. Każdy z utęsknieniem oczekiwał wyzwolenia. Codziennie mieliśmy alarmy lotnicze. W początkach kwietnia 1945 r. mieliśmy już wyraźne oznaki zbliżania się do nas frontu. Odczuwaliśmy silne wybuchy pocisków artyleryjskich i obserwowaliśmy pożary i łuny, które przybliżały się. W naszym obozie były potajemne przygotowania do uderzenia od wewnątrz. Znalazła się nawet broń, oczywiście celowali w tym najwięcej AK-owcy. Na uwagę zasługuje fakt, że w bloku H. zamieszkałym wyłącznie przez AK-owców znalazł się pistolet maszynowy Sten, który przemycony został z Warszawy do Murnau, mimo wielokrotnych rewizji.



Murnau

JESTEŚMY WOLNI

Dnia 29 kwietnia 1945 r. odgłosy walki dochodziły do naszego obozu tak wyraźnie, że wszyscy wylegli na plac, by obserwować zbliżające się oddziały alianckie. W pewnym momencie do obozu zajechały dwa samochody z wyższymi oficerami gestapo z zadaniem zlikwidowania oficerów polskich. W tym celu przybyło także do Murnau około 200 gestapowców.

Tymczasem na horyzoncie pojawiły się pierwsze czołgi amerykańskie. Minuty między godziną 14 a 15 stawały się w obozie bardziej gorączkowe, napięcie oczekiwania wzrastało. Niemcy wycofali się pośpiesznie różnymi drogami, pozostawiając tu i ówdzie pojazdy mechaniczne i sprzęt, zaś gestapowcy zatrzymywali uciekających i na miejscu rozstrzeliwali za dezercję. W odległości 300 metrów zza góry wyłoniły się dwa czołgi amerykańskie, a za nimi następne, ostrzeliwując budynki i zarośla. Będąc tuż w pobliżu czołgów amerykańskich widziałem, jak żołnierze amerykańscy na pierwszych czołgach filmowali walkę rozgrywającą się przed obozem. Opór Niemców został bardzo szybko złamany, wszyscy gestapowcy zginęli z generałem na czele tuż przed bramą główną do obozu, która teraz została otwarta na roścież. Jedne czołgi amerykańskie podążały w pogoni za uciekającym nieprzyjacielem, inne znów wjechały przez główną bramę do obozu niszcząc zasieki drutowe. W obozie powstał niesłychany entuzjazm, zdawało się, że ludzie oszaleli z radości, krzyki, wiwaty i śpiewy nie miały końca. Tam gdzie stał przy głównej bramie na wieżyczce niemiecki CKM z obsługą teraz stoi Polak z armii amerykańskiej i przemawia do nas po polsku. Wszystko co było hitlerowskie niszczy się na miejscu, na maszt wciąga się flagę polską przy dźwiękach „Jeszcze Polska nie zginęła".

Dnia 31 lipca 1945 r. w pierwszą rocznicę Powstania Warszawskiego urządzony był capstrzyk niezwykle uroczyście i pomysłowo, a następnie apel poległych w Powstaniu. Uroczystości odbyły się w godzinach wieczornych na głównym placu, gdzie urządzono wspaniałe ognisko zbudowane z prycz itp. Ognisko przedstawiało płonącą 4-piętrową kamienicę warszawską. W blasku tego potężnego ognia odczytano w skupieniu apel poległych. Rano tegoż dnia wyruszyły grupy powstańców na szczyty Alp, gdzie w różnych punktach zapalone zostały podobne ogniska. Widowisko to pozostawiło niezapomniane wrażenia i refleksje.

Po tej uroczystości w Murnau — obóz zaczął pomału pustoszeć. Pierwsi AK-owcy opuścili te znienawidzone mury, gdyż przebywanie w nich robiło nieprzyjemne wrażenie.

Wszystkich trapiła myśl, co stało się z rodziną. Nawiązanie korespondencji z krajem było rzeczą niemożliwą, jedynie z terenów Francji można było wysyłać listy do kraju pocztą lotniczą.

Dnia 1 sierpnia 1945 r., korzystając z okazji wyjechałem z Murnau do Paryża, skąd po 2 miesiącach udało mi się nawiązać łączność z rodziną i wreszcie wrócić do kraju.

Ognisty kpt.



Winietka drzeworytnicza na dyplomach uczestników powstania warsz., opracowana przez ś. p. kpt. Gozdawę

JEDZIEMY DO TORUNIA

Podróż z Łodzi do Torunia i z powrotem odbyłem — nie samolotem i nie autobusem — lecz koleją. Niekiedy bowiem się zdarza, że koleją można podróżować najwygodniej. Mnie się właśnie przytrafił taki przypadek. W obydwie strony miałem t. zw. miejsce siedzące i choć tłok był duży, nie rozgrywały się owe makabryczne sceny, o których piszą felietoniści i o których ze zgrozą mówią podróżnicy. Przeciwnie, było wesoło. We Włocławku wsiadły do przedziału dwie eleganckie panie. Jedną z nich była sławna nasza pianistka, pani Forte-Pianowska, odbywająca tournée artystyczne po Kujawach i Pomorzu. Że to ona, dowiedziałem się z podniesionej rozmowy, jaką wiodła ze swą towarzyszką.

To oburzające — mówiła: — w tym Włocławku ludziom się zdaje, że Forte-Pianowska może grać na jakimś przedpotopowym krajowym fiebigerze. Przyznaj, moja droga, że jeśli nie mieli steinwaya, mogli się wystarać dla mnie chociaż o bechsteina.

Cały przedział otwierał oczy i nadstawiał uszu, słysząc takie dziwy.

— Boję się tej Chełmży — mówiła dalej pianistka — to podobno straszna dziura, i nie ma nawet porządnej sali koncertowej. Z akustyką na prowincji jest zazwyczaj źle. Z drugiej strony nie wątpię, że frekwencja powinna być zapewniona, bo Chełmża po raz pierwszy po wojnie usłyszy Forte-Pianowską. Muszę jeszcze starannie przepalcować tę serenadę Brahmsa. Pamiętasz to najtrudniejsze staccato...

Tu artystka zaczęła coś nucić, wybijając jednocześnie średnim palcem swej smukłej prawicy takt na drewnianym siedzeniu ławy. Nie wiedziec czy dziwne słowa, których używała, czy też melodia, jaką poczęła wystukiwać, podziałały zagrzewająco na podróżnych. Kilka młodych dziewcząt, przystojny strażak oraz miastowy młodzieniec z cieniutkim sznurkowym wąsikiem zaczęli naprzód



Gmach główny uniwersytetu M. Kopernika. (Collegium Maius)

półgłosem, potem coraz silniej próbować różnych piosenek. Lubię śpiewy zbiorowe, spontanicznie a żywiołowo wybuchające. Są one oznaką młodości, tudzież świadectwem zdrowia i pogody ducha społeczeństw. Za



Collegium Minus — Uniwersytet M. Kopernika, gmach zwany popularnie „kaloryferem"

granicą — w pociągach i na wycieczkach zawsze się słyszy, jak młodzież śpiewa chóralnie. W naszym przedziale chór — jak to zwykle bywa na początku (pierwsze koty za płoty) — nie wiązał się dość składnie i okazało się, że — mimo wściekłą popularność — Harris raczej jest znany z reklamy, niż ze studiów nad nim. Stopniowo pomknęły już sprawnie inne piosenki — spółcześnie wojskowe i miłosne. Śpiewano z przejęciem o żołnierzu, który konając na polu walki, mówi do kolegi: „Napisz do mojej rodziny, że padłem z piersią, kulą przeszytą, o wpół do drugiej godziny" — bis: „o wpół do drugiej godziny". Potem śpiewano inną, o dziewczynie, przekomarzającej się z zalotnikiem: „Nie kładź się ze mną nocą, bo mi się nóżki pocą". Młody śmiech towarzyszył piosenkom. Było wesoło. Tylko pani Forte-Pianowska, zagłuszona całkowicie, odwróciwszy się z niesmakiem do okna, bębniła leciutko na jego uszaku swoje staccato i przyglądała się uciekającemu krajobrazowi. W takich nastrojach upłynęła nam droga do Torunia.

Ze wzruszeniem wysiadłem w tym mieście. Nie widziałem go wiele lat. Dworzec główny spalony, mosty wysadzone, lecz jeden z nich prowizorycznie naprawiony — oto, zdaje się, całe zniszczenie wojenne. Ażeby nie objeżdżać kilku kilometrów do miasta autobusem, przeprawiłem się przez Wisłę motorówką i wylądowałem u stóp starożytnych murów miejskich, przy bramie wiodącej na ulicę Mostową, gdzie w skromnym pokoiku starej kamieniczki spędziłem niegdyś kilka szczęśliwych miesięcy. Toruń jest tak samo piękny, jak dawniej, tak samo tchnący czarodziejstwem średniowiecza. Tylko gospoda z końca w. XV „Pod modrym fartuszkiem", na Rynku Nowomiejskim, ma godło zdjęte i drzwi i okna zabite deskami. Ale podobno nie z powodu wojny, lecz zwyczajnie ze starości. Coś się w niej we środku nadwyrężyło i groziło zawaleniem. Miasto pewnie odmłodzi tę czcigodną staruszkę i umożliwi jej znowu przyjmowanie wędrowców.

Na rogu Łaziennej i Szerokiej czytam: „Apteka Radziecka". Jest to apteka stara jak świat: w r. 1649 dostała swój przywilej od króla Jana Kazimierza. Były to czasy świetności rad miejskich, izb radzieckich, sądów radzieckich, ksiąg radzieckich, ław radzieckich, służby radzieckiej. Więc i apteka musiała być radziecka, aby panowie radźcy czyli rajcy leczyć się gdzie mieli.

Stanąłem w odwiecznym zajeździe (dziś hoteliku) „Pod Trzema Koronami", w pobliżu Marii Panny, nie dlatego, jakobym był reakcjonistą — monarchistą albo klerykałem, wiadomo bowiem, że tiara papieska z trzech się koron składa. Uczyniłem tak z tego powodu, że zatrzymał się tu ongi Jan Matejko, gdy—postanowiwszy namalować „Grunwald" — udał się z Krakowa poprzez Toruń na zwiedzenie sławnego pobojowiska. Z okienka mej izby wychylałem się na średniowieczny dziedzińczyk i myślałem: a może właśnie w tej izdebce nocował mistrz i przy swym krótkowidztwie wychylał się tak samo, aby zrobić jakiś szkic tych murów? I myślałem jeszcze: poco mistrz zażył tylu niewygód i trudu ówczesnej podróży, skoro w obrazie jego nie masz nie tylko śladu pejzażu grunwaldzkiego, ale nawet perspektywy powietrznej? W małej salce biesiadnej „Trzech Koron" zetknąłem się z pewnym fenomenem; grał tam podczas wieczerzy na pianinie, chłopiec dwunasto, może trzynastoletni. Grał fuocoso własne wariacje na temat „Warszawianki" z takim kunsztem, że jego drobna dłoń — jak mi się zdawało — brała z łatwością decymy. Może z chłopca — jeśli go tam nie zmarnują — wyrośnie wirtuoz?

Spod „Trzech Koron" robiłem wycieczki celem — jak to się mówi — nawiązania kontaktów: z uniwersytetem, z literaturą, z plastyką, z teatrem. Śród tych wycieczek obszedłem cały Toruń i nawet natknąłem się na kino „Orzeł", gdzie idzie długometrażowy film produkcji polskiej pt. „Moi rodzice rozwodzą się", z Brodniewiczem i Junoszą-Stępowskim w rolach głównych. Nic się więc w Toruniu po latach nie zmieniło. Jednakże było to moje złudzenie. Wprawdzie mury są wciąż te same, ale życie się zmienia. Tego roku na przykład zasadzono na kwietnikach toruńskich 150 tysięcy kwiatów, które są ozdobą miasta. Często zdarzają się wypadki samochodowe; gazety alarmują, że w ciągu ostatnich dwóch tygodni przejechano śmiertelnie troje dzieci; cichy Toruń wzburzony jest niekarnością szoferów. Z początkiem roku szkolnego powstaje nowe liceum pedagogiczne. Wicestarosta Brunon Kiesler (pocieszajmy się, że to folksdojcz rehabilitowany) sprzedał „na lewo" pięć koni państwowych i zamknięty został w obozie pracy na trzy miesiące: — powiadają, że za mało. Z Gdańska poprzez Bydgoszcz do Torunia przemycono 12 worków najprzedniejszej mąki unrrowskiej, ale sprawców nadużycia wykryto natychmiast. Robotnicy przy odbudowie mostu toruńskiego skarżą się, że wpłacili za paczki unrrowskie 121.800 zł., otrzymali zaś towaru za 62.985 zł. i pozostałej różnicy 58.815 zł. nikt im nie chce zwrócić. Relata refero, wszystkie bowiem powyższe sensacje czerpię z „Robotnika Pomorskiego".

Wszelako Toruń zmienia się nie tylko pod względem intensywności życia. Przeobrażenia sięgają głębiej, w dziedzinę psychiki miasta, które — jak mówią — zmienia swoje oblicze duchowe. Doniosłym czynnikiem w życiu Torunia staje się Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika, który w sierpniu obchodzi pierwszą rocznicę swego istnienia. Jego rektor, prof. Ludwik Kolankowski, jest dobrym organizatorem i — jak się zdaje — umiał pozyskać sympatię i współpracę społeczeństwa, z władzami miejskimi i Związkiem Zachodnim na czele. Dzięki tej współpracy rektor zdobywa nowe śliczne gmachy dla wydziałów uniwersyteckich oraz środki na remont i inwestycje, na które Ministerstwo asygnuje kwoty w skali bodaj przedwojennej — np., na wydawnictwa naukowe budżet uniwersytecki przewiduje 500 zł. miesięcznie. Tymczasem uniwersytet zdołał już wydać pięć prac swoich profesorów (Czeżowskiego, Passendorfera, Hartleba, Dziewulskiego) i nawet w języku angielskim Bulletin of the Astronomical Observatory in Toruń", której to gwiazdarni czyli gwiazdopatrzni (mówiąc po staropolsku) powinno się chyba szczęścić w grodzie Kopernika. Wszystkie wydawnictwa uniwersytetu odznaczają się nienaganną szatą graficzną, co jest z kolei zasługą „Księgarni Naukowej" T. Szczęsnego, która się ich podjęła. Wydaje się tylko, że — niestety — nie są one, poza Toruniem w Polsce znane, a szczególnie należałoby polecić nowe opracowanie „Propedeutyki" Czeżowskiego pt. „Główne zasady nauk filozoficznych" jako podręcznika, przeznaczonego nie tylko dla licealistów, ale i dla studentów humanistyki.

Jest w Toruniu ruch śród literatów, a przede wszystkim śród plastyków, a to dzięki temu, że do Torunia przeniósł się z Wilna tamtejszy wydział Sztuk Pięknych b. Uniwersytetu St. Batorego — z Tymonem Niesiołowskim, Bronisławem Jamonttem, Jerzym Hoppenem, Stefanem Narębskim, St. Horno-Popławskim i innymi profesorami. Obecnie Popławski (rzeźbiarz) i Narębski (architekt i historyk sztuki) pracują nad projektem pomnika-obelisku, jaki miasto Toruń chce wznieść synom Ziemi Pomorskiej, poległym czasu wojny. Pomnik stanie za murami starego Torunia, tam gdzie się rozpoczyna Bydgoskie Przedmieście, u zbiegu Alei 700-lecia i ul. Mickiewicza, ze wspaniałą perspektywą na most. Dzięki zabiegliwości plastyków powstała też dopiero co Spółdzielnia Pracy Artystów p. n. „Rzut" w Rynku Staromiejskim, która — wzorem warszawskiego „Ładu" — otworzyła pięć działów wytwórczości artystycznej: dział grafiki użytkowej, architektury wnętrz, tkactwa (kilim, makata, samodział), zabawkarstwa i farb. „Rzut" ambitnie pragnie się przyczynić do rozwoju przemysłu artystycznego na Pomorzu, podnieść zwłaszcza i rozpowszechnić sztukę ludową.

„Teatr Ziemi Pomorskiej" gra, oczywista, co wieczór. Dyrektoruje nim Horzyca, reżyseruje Józef Maśliński. Po przedstawieniu można sobie pójść do Dworu Artusa, który jest otwarty do świtu, bawi publiczność dancingiem i czasami awanturą pijacką, ale czy słyszał kto kiedy, by w nocnych lokalach nie bywało awantur?



Prof. dr. Ludwik Kolankowski, rektor uniw. M. Kopernika w Toruniu.



Obraz (fragment starego Wilna) B. Jamontta, dziekana wydz. sztuk pięknych, nagrodzony na wystawie malarskiej w Toruniu.

Jeśli chodzi o „nowe oblicze" Torunia, trzeba by poświęcić uwagę tym przemianom, jakie się tu dokonywują na skutek przesiedlenia się do Torunia znacznej ilości wilnian (cały Uniwersytet St. Batorego) i wogóle repatriantów z dawnych kresów. Stykają się i zaczynają współżyć ze sobą dwa światy: dawny kresowiec z pomorzaninem, ludzie o różnym temperamencie i różnej postawie życiowej. Być może, pomorzanina cechuje niejaka ksenofobia; być może kresowiec, który był zawsze regionalistą, przesadzony na inny grunt, nie wszystko od razu zdolny jest zrozumieć i przystosować się do nowych warunków. Nie ulega wątpliwości, że zachodzą między nimi pewne zadrażnienia. Ale poco o tym pisać? Czas leczy wszystkie bolączki, wieszcz zasię kresowy powiedział do wszystkich Polaków: „kochajmy się".

J. W.



Widok spod teatru na starostwo toruńskie

Dzisiejsza Bułgaria i jej rola wśród państw słowiańskich



Bułgaria obchodziła 23-ą rocznicę śmierci Aleksandra Stambolińskiego, przywódcy partii chłopskiej w Bułgarii, zamordowanego 14-go czerwca 1923 r. podczas zamachu stanu dokonanego przez Borysa III i jego zwolenników

Stosunki handlowe bułgarsko-polskie datują się od 1926 r. i przedstawiały się następująco:

Rok	Przywóz do Bułgarii w mil. lewów	Wywóz Bułgarii w mil. lewów
1926	13	119
1932	105	176
1933 kryzys gosp.	24	50
1939	297	228

Pierwszy powojenny układ handlowy bułgarsko-polski zawarty w dniu 29 kwietnia r.b. na okres 11 miesięcy t. j. do dnia 31 marca 1947 r. przewiduje wymianę towarów w ilości 50.000 ton wartości 15—16 milionów dolarów Bułgaria importować będzie z Polski: węgiel, wyroby żelazne, parowozy, produkty chemiczne i farmaceutyczne, maszyny rolnicze i t. p., wzamian Polska otrzyma: tytoń, skóry surowe, wina, oleje mineralne, zioła lecznicze i t. p.

ROLNICTWO — PRZEMYSŁ — CENY

Główne bogactwo Bułgarii stanowią: tytoń, rośliny przemysłowe, owoce i jarzyny. Tegoroczny zbiór tytoniu wynosić będzie przypuszczalnie około 50.000 ton, co stawia Bułgarię na piątym miejscu producentów i eksporterów tytoniu w świecie. Największą produkcję tytoniu mają Stany Zjedn. Ameryki Północnej (około 660.000 ton, z czego eksportują około 250.000 ton), na drugim miejscu Indie Holenderskie, około 60.000 ton, na trzecim Grecja 50.000 ton, na czwartym Turcja 42.000 ton, na piątym Bułgaria 35.000 ton (cyfry powyższe dotyczą eksportu).

Wskutek braku nawozów sztucznych, maszyn rolniczych i dobrych ziarn, wydajność ziemi np. w zbożach jest dużo niższa niż w Europie Centralnej lub w Zachodniej i wynosi od 900—1300 kg. z hektara. Hodowla bydła prowadzona nieracjonalnie przysparza niewiele dochodu rolnikom i państwu. Np. krowa bułgarska daje przeciętnie 600 litrów mleka rocznie, podczas gdy w Europie zachodniej i środkowej od 2400—3200 litrów. Celem podniesienia poziomu rolnictwa rząd bułgarski szkoli instruktorów, stara się o sprowadzenie nawozów, dobrych nasion i maszyn rolniczych, ulepszenie środków technicznych, zakładanie wielkich spółdzielni rolniczych i t. p.

Reforma rolna przeprowadzana w Bułgarii przewiduje wywłaszczenie wszystkich większych gospodarstw rolnych ponad 5 hektarów i obdzielenie ziemią posiadających mniej lub nie posiadających nic.

Plan produkcji przemysłu bułgarskiego przewiduje w III kwartale b.r. przeróbkę około 1,5 milj. kg. wełny, 3.200.000 kg. bawełny, wyrób 670.000 par obuwia, 130 ton kauczuku, 4 milj. kg. papieru i t. p.

Przemysł spożywczy produkuje: kawę, cukier, makaron, alkohol, drożdże, ocet i t.p. Przemysł chemiczny fabrykuje: terpentynę, kwas solny, siarczan miedzi, zapałki, koks, benzynę, naftalinę, kalafonię, mydło, gliceryne i t. p. Przemysł metalowy: piecyki, druty, rury, podkowy, gwoździe i różne narzędzia. Ceny w Bułgarii w stosunku do roku ubiegłego spadają. Np. obuwie z 810—600 lewów, nafta z 36—30 lewów, gwoździe z 100—80 lewów, sól z 17,5—15 lewów. Taryfa przewozowa została obniżona o 15%, cena bawełny o 10%, wyroby rzemieślnicze przeciętnie o 20% i t.p.

O ile przyjmiemy za wskaźnik cen rok 1939 = 100, to ceny w 12 większych miastach bułgarskich wraz z Sofią wynosiły w styczniu 1945 r. — 439, w czerwcu 1945 r. — 542, w grudniu 472 ,a obecnie 446.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ

Właściwy rozwój spółdzielczości bułgarskiej datuje się od 1945 r. Ostatnio trzy największe centrale spółdzielcze: „Védoma", „Napred" i „Zadrouga" połączyły się i stworzyły Unię Spółdzielczą.

Jedna z tych spółdzielni „Védoma" posiada 76 oddziałów i 80.000 członków ,prowadzi 160 stołówek, w których stołuje się około 100.000 ludzi. Obiad w stołówkach spółdzielczych kosztuje pięciokrotnie mniej niż w restauracji (za taki sam rodzaj posiłku).

Dwie spółdzielnie wydawnicze bułgarskie „Tchitcop" i „Popularna" również zjednoczyły swe wysiłki we wspólnej centrali.

ŻYCIE KULTURALNE SOFII

Stolica Bułgarii — Sofia liczy już obecnie ponad 600.000 mieszkańców. Brak mieszkań spowodował konieczność budowy nowych domów mieszkalnych. Plan budowlany na rok 1946 przewiduje budowę 13000 nowych mieszkań.

Teatr Narodowy w Sofii wystawił w ubiegłym sezonie dwadzieścia sztuk, w tym 3 bułgarskie, jedenaście rosyjskich, trzy francuskie, jedną angielską, jedną jugosłowiańską i jedną niemiecką.

W operze największym powodzeniem cieszą się: „Eugeniusz Oniegin", „Borys Godunow", „Traviata", „Werter" „Cyganeria" i „Źródło Bakczyseraju".

Pomiędzy licznymi tłumaczeniami dzieł literackich pokaźne miejsce zajmują poeci słowiańscy. Z poezji polskiej tłumaczony i popularny jest Mickiewicz, Słowacki i Kasprowicz.

W roku bieżącym nagrody literackie otrzymali: G. Bélev za dzieło: „Nowi ludzie", P. Zarew za tom krytyki i M. Issaev za książki dla dzieci.

DZIECI POLSKIE W BUŁGARII

W lipcu przybyło do Sofii 306 dzieci polskich (sierot z Warszawy) pod opieką prof. Dąbrowskiego, lekarzy i personelu nauczycielskiego. Pomiędzy dziećmi są trzej bohaterowie powstania warszawskiego: Janusz Bzdenkiewicz, Ryszard Serac i Wojciech Batorski. Po serdecznym powitaniu na dworcu udekorowanym flagami o barwach narodowych bułgarskich i polskich przez przedstawicieli rządu, Czerwonego Krzyża i organizacji społecznych — dzieci zostały przewiezione na odpoczynek do Warny (nad brzegiem morza) do Bolkowa (u stóp gór), w okolicy Plovdiv i do Gonta-Voda. Dzieci znajdują się pod opieką specjalnej komisji bułgarskiej.

B u ł g a r i a — dwukrotnie wciągnięta do wojny po stronie Niemiec przez dywersję koburską, co przyniosło narodowi bułgarskiemu wiele strat politycznych i gospodarczych — pragnie większego ożywienia stosunków gospodarczych i kulturalnych z państwami słowiańskimi, zupełnego wyeliminowania wpływów niemieckich. Wymaga to zwiększenia zainteresowań Bułgarią również i w Polsce. Warunki po temu są bardzo dobre, musimy zawierać stosunki gospodarcze i kulturalne ze wszystkimi państwami słowiańskimi, bo tylko wtedy będziemy się mogli skutecznie oprzeć naciskowi gospodarczemu i kulturalnemu Germanów.

M. B.



Dorodne typy młodzieży bułgarskiej w strojach ludowych



Trzej młodzi uczestnicy powstania warszawskiego: Bzdenkiewicz, Serac i Batorski przybyli z grupą młodzieży polskiej na wakacje do Bułgarii



Charakterystyczną cechą budownictwa bułgarskiego są podcienia, balkony i płaskie, szerokie dachy, dające schronienie przed upałami

GEORGE WELLS

Zmarły 13 sierpnia br. w Londynie George Herbert Wells należał do czołowej grupy literatów angielskich, których talent ujawnił się w drugiej połowie ub. wieku i których dzieła, tłumaczone niemal na wszystkie języki, znane są czytelnikom na obu półkulach świata. Do grupy tej należeli: Bernard Shaw (ur. w 1856 r.), Oskar Wilde (1856), Artur Conan Doyle (1859), Rudyard Kipling (1865), John Galsworthy (1867), J. H. Wells (1866) i Gilbert Keith Chesterton (1874). Przeżył wszystkich najstarszy z nich Bernard Shaw, którego 90-rocznicę obchodziła Anglia w ub. miesiącu.

George Herbert Wells urodził się 21 września 1866 r. w prowincji Kent w Anglii. Pracę literacką rozpoczął od powieści fantastycznych: „Podróż w czasie" i „Niewidzialny człowiek". Jako socjalista z przekonań, pisze szereg powieści obyczajowych, malując w nich życie drobnych mieszczan („Miłość i p. Lewisham"), „Kipps", „Tono Bungay" i „Anna Weronika". Bohaterami powieści Wells'a są zwykle pracownicy sklepowi, biedni nauczyciele, mechanicy, kanceliści itp., którzy pracują nad sobą, wybijają się i zostają dziennikarzami lub literatami. W ewolucji tej wielkie znaczenie miewa socjalizm. W życiu każdego bohatera Wells'a pojawiają się dwie kobiety; jedna odpowiadająca mu fizycznie i umysłowo, druga tylko przejściowo odgrywa rolę w jego życiu. Wells miał niezwykły dar opowiadania i wybujałą fantazję. W 1924 r. napisał satyryczną powieść p. t. „Sen", w której stworzył obraz socjalistycznej przyszłości, z kolei szereg rozpraw: „Uzdrowienie cywilizacji", „Świat Williama Clisolda" i „Historię świata".

W 1914 r. wydał dzieło pt. „Świat wyzwolony", w którym przepowiedział wynalazek bomby atomowej i doczekał się realizacji swego fantastycznego projektu.

W dorobku swoim zostawił 63 tomy dzieł, w tym 20 powieści, 19 fantastycznych utopii, 4 tomy krótkich opowiadań oraz 20 dzieł na tematy społeczne, religijne i polityczne, ostatnio zaś scenariusz filmowy pt. „Droga, którą świat kroczy". Treść tego scenariusza związana jest z odkryciem bomby atomowej.

Literatura angielska poniosła wielką stratę, gdyż Wells był jednym z najpopularniejszych autorów współczesnych w Anglii, uczonym, politykiem, historykiem i powieściopisarzem w jednej osobie.



G. H. WELLS

Z Polski i ze świata

Międzynarodowa konferencja socjalistyczna odbędzie się w dniach 27 i 28 sierpnia br. w Paryżu, w której wezmą udział przedstawiciele C.K.W. P.P.S., głównym przedmiotem obrad ma być sprawa ustosunkowania się do rządów gen. Franco. —

Konferencja „Wielkiej Piątki" ma się odbyć w końcu b. m. w Moskwie na zaproszenie Związku Radzieckiego celem omówienia spraw spornych, które mają być przedmiotem obrad Organizacji Narodów Zjednoczonych w połowie września b.r. W konferencji wezmą udział Z.S.R.R., Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Francja i Chiny.

Sprawa Palestyny przybiera na ostrości. Wielka Brytania zamknęła całkowicie emigracje Żydów do Palestyny, osadzając schwytanych Żydów, nielegalnie udających się do Palestyny — w obozach na wyspie Cypr. Tajna radiostacja żydowska wzywa Żydów do czujności, aby każdej chwili byli gotowi do wykonania rozkazów i wzywa wszystkich prześladowanych Żydów w Europie, aby mimo wszystko emigrowali do Palestyny. Prezydent Truman nie zajął jeszcze stanowiska w tej sprawie, znajduje się on obecnie na wypoczynku na jednym z okrętów na Atlantyku i przypuszczalnie spotka się w tej sprawie z premierem Wielkiej Brytanii — Attlee. Przywódcy Ligi Arabskiej oświadczyli, że nie wezmą udziału w konferencji w sprawie Palestyny, o ile uczestniczyć w niej będą Żydzi. Przypuszczalnie Wielka Brytania zrzeknie sie mandatu nad Palestyną, przekazując go Org. Narodów Zjednoczonych, lub też będzie go sprawować wspólnie ze Stanami Zjednoczonymi.

Wybory w Jugosławii mają się odbyć w październiku r. b.

Rozmowy polsko-czechosłowackie prowadzone są obecnie w Paryżu. Jak wynika z oświadczeń wicepremierów czeskich: dr. Fierlingera i Clementisa spodziewać się należy zawarcia traktatu o przyjaźni i wzajemnej pomocy. Jak się dowiadujemy, sprawy terytorialne nie są omawiane.

Rewizji traktatu w Montreux domaga się rząd Z.S.R.R. w swojej nocie do rządu tureckiego. Nota zawiera 5 punktów:

1. Cieśniny winny być zawsze otwarte dla statków handlowych wszystkich państw
2. Cieśniny winny być zawsze otwarte dla przejazdu okrętów wojennych państw czarnomorskich.
3. Przejazd przez cieśniny okrętów wojennych, nie należących do państw czarnomorskich jest wzbroniony z wyjątkiem oddzielnie przewidzianych wypadków.
4. Opracowanie statutu cieśnin jako jedynej drogi wiodącej z Morza Czarnego i na Morze Czarne, winno należeć do kompetencji Turcji i innych państw czarnomorskich.
5. Turcja i Związek Radziecki, jako państwa najbardziej zainteresowane i mogące zapewnić wolność żeglugi handlowej i bezpieczeństwo w cieśninach, zorganizują wspólnymi środkami obronę cieśnin dla zapobieżenia wykorzystania ich przez inne państwa w celach wrogich państwom czarnomorskim .

Nie znamy jeszcze treści odpowiedzi Turcji, na powyższą notę. Agencja Reutera donosi, że Wielka Brytania wysłała w tej sprawie notę do Z.S.R.R.

Dawny stały przedstawiciel Turcji w Lidze Narodów — Nadjemttin Sadak, który był jednym z sygnatariuszy traktatu w Montreux w 1936 r. oświadczył dziennikarzom, że polityka turecka odnośnie cieśnin opiera się na dwóch zasadach:

1. Zasada międzynarodowości, przy czym w razie potrzeby wymienione mogą być w ramach traktatów pewne modyfikacje.
2. Absolutne zachowanie nienaruszalności terytorialnej Turcji.

Tezy te są biegunowo różne od tez Związku Radzieckiego.

Dawna emigracja Polska w Saksonii i Turyngii ma powrócić do Kraju. Do chwili obecnej zadeklarowało swój powrót do Polski — 4000 rodzin.

Od admistracji

Prosimy o odnowienie prenumeraty na miesiąc wrzesień b. r.

PRZEDSTAWICIELE LABOUR PARTY w Warszawie



Na zdjęciu stoją: J. Cyrankiewicz, przew. Partii Pracy—Harold Lasky, Morgan Philips i H. Clay

W Warszawie bawiła delegacja angielskiej Partii Pracy w osobach: przewodniczącego prof. Harolda Laski'ego, sekretarza generalnego Morgana Philips'a i członków: Harolda Clay'a i Alice Bacon. Goście zwiedzili poza Warszawą nasze Ziemie Zachodnie. Harold Lasky, jak sam oświadczył dziennikarzom, jest pochodzenia polskiego, pradziadek jego nazwiskiem Łaski, był uczestnikiem powstania 1831 r. i zmuszony opuścić Polskę, przybył do Anglii i tam osiadł na stałe.

„DYNAMO" PRZYBYWA DO POLSKI



Mistrzowska drużyna piłkarska Moskwy „Dynamo" przybywa do Polski, gdzie rozegra mecze na boiskach: Warszawy, Łodzi i Krakowa. Na zdjęciu drużyna „Dynamo" wbiega na boisko w Moskwie podczas meczu z „Lokomotywą" bułgarską, który się zakończył wynikiem nierozstrzygniętym 3:3.

Konferencja Pokojowa. Po kilkutygodniowych debatach wstępnych nad regulaminem obrad i sprawami procuderalnymi, dokonano wyboru komisji, które zajmą się poszczególnymi projektami traktatów pokojowych i przygotowują wnioski na plenum konferencji.

Do wypowiedzenia swoich uwag w sprawie projektowanych traktatów zaproszono: Albanię, Egipt, Meksyk, Kubę, Persję i Austrię.

W pracach Komisji powołanej do opracowania traktatu z Finlandią nie bierze udziału delegat Stanów Zjednoczonych, (choć jest do tego uprawniony), a to z uwagi, że Stany Zjednoczone nie były w stanie wojny z Finlandią.

Przewodniczącym Komisji Wojskowej Konferencji Paryskiej został płk. Naszkowski, attaché wojskowy Ambasady Polskiej w Paryżu.

Proces w Norymberdze zakończył się w dniu 21 b.m. Na „ostatnie słowo", każdy oskarżony otrzymał 5 minut. Termin ogłoszenia wyroku do chwili zamknięcia numeru, nie został jeszcze podany.

Tupet Niemców wzrasta. Przywódcy partii niemieckich: socjal - demokratycznej (Schumacher) i unii chrześcijańsko - demokratycznej (Jakób Kajser) wystąpili do Rady Sojuszniczej o rewizję traktatu poczdamskiego odnośnie granicy na Nissie i Odrze. Niepokoi ich odbudowujący się szybko przemysł polski na Ziemiach Odzyskanych. Nowi wodzowie Niemiec już się znaleźli.

Wiadomości sportowe

Przez cztery dni na wszystkich boiskach Łodzi odbywały się pierwsze po wojnie igrzyska sportowe kolejarzy polskich. Na program złożyły się: mecze piłkarskie, wyścigi kolarskie, zawody bokserskie, lekkoatletyczne i gier sportowych.

Osiągnięte w poszczególnych konkurencjach wyniki nie były zbyt dobre. W danym wypadku nie chodzi jednak o wyniki, lecz o sprawdzenie jaką popularnością cieszy się wychowanie fizyczne wśród kolejarzy. I ten cel został osiągnięty. Wszystkie dyrekcje kolei polskich były licznie reprezentowane przez zawodników. Ogółem startowało ponad 1500 osób.

W wyścigu kolarskim na dystansie 100 km. zwyciężył Kluj (Poznań).

W zawodach lekkoatletycznych najwięcej pierwszych miejsc (pięć) zdobył znany lekkoatleta poznański — Hoffman.

W piłce nożnej pierwsze miejsce zdobył zespół łódzkiego Z. Z. K.

* * *

W Łodzi bawiła drużyna piłkarska, rekrutująca się z zawodników kolejarzy czeskich— Żeleznyčary, która pierwsze swe spotkanie przegrała z reprezentacją kolejarzy polskich w stosunku 3:4 (1:3).

* * *

W Warszawie odbyło się walne zebranie Polskiego Związku Piłki Nożnej. Ne zebraniu tym delegaci poszczególnych okręgów odrzucili projekt reaktywowania Ligi i polecili zarządowi P.Z.P.N. opracowanie nowego systemu rozgrywek o mistrzostwo Polski. Na tym samym zebraniu była poważnie rozważana sprawa wprowadzenia do piłkarstwa polskiego zawodowstwa lub półzawodowstwa. Delegaci do tego, już całkiem nowego problemu, jeśli chodzi o sport polski, ustosunkowali się dość przychylnie. Na tej podstawie można przypuszczać, iż w niedługim czasie będziemy mieli już całkiem oficjalnie pierwszych zawodowych sportowców.

* * *

W dniu 25 sierpnia nastąpi start wszystkich mistrzów okręgowych w piłkarstwie, którzy rozpoczną swą młóckę o zdobycie miana najlepszej drużyny w Polsce.

Jak donieśli korespondenci sportowi polscy, zawodnicy na mistrzostwa lekkoatletyczne Europy w Oslo jechali z Warszawy do Gdyni jak śledzie w beczce. Niesamowity tłok w wagonie zmusił ich do przejechania trasy Warszawa — Gdynia na stojąco. Dopiero na statku wszyscy rozprostowali swe kości. Miejmy jednak nadzieję, że ta przykra podróż nie wpłynie ujemnie na wyniki naszych zawodników.

* * *

W regatach o mistrzostwo Polski, które odbyły się w Bydgoszczy, do najbardziej dramatycznych i emocjonujących zaliczyć należy pojedynek w jedynkach. Vereya z młodym wioślarzem — Derzö. Stara klasa nie zawiodła. Zwyciężył Verey (AZS — Kraków) przed swym kolegą klubowym i zarazem uczniem — Derzö.

Wydajność a osiągnięcia

„W przemyśle węglowym nastąpił dalszy wzrost wydajności, przekraczając 60 proc. przedwojennej i dochodząc do 1000 kg. na robotniko - dniówkę". — Tyle mówi suche sprawozdanie, lecz o ileż więcej ono powie, gdy sięgniemy do pewnych porównań. Przede wszystkim należy przypomnieć właśnie sytuację „przedwojenną". Przemysł węglowy polski prowadził ostrą walkę o rynki zbytu. W walce tej, aby się stać konkurencyjnym wobec innych dostawców na międzynarodowym rynku, musiał obniżać swą cenę. Różne do tego prowadziły drogi: wysoka cena dla krajowego odbiorcy i racjonalizacja pracy, a w tym „żyłowanie robotnika". Wskutek tych zabiegów, polski przemysł węglowy miał przed wojną **najwyższą wydajność w całej Europie.** Wynosiła ona u nas 1,8 t. Niemcy mieli 1,5, Anglia 1,2 a Francja i Belgia po 0,8 t. To jest niełada osiągnięcie, gdy dziś, po pierwszym zaledwie roku pracy, na zużytych i zniszczonych przez okupanta kopalniach, przekroczyliśmy przedwojenną wydajność francuską i belgijską, zbliżając się powoli lecz systematycznie do przedwojennej wydajności angielskiej i własnej. W rok po ukończeniu wojny, bo w m-cu maju osiągnęliśmy już wydajność własną z 1925 r. Innymi słowy zrobiliśmy w ciągu roku to cośmy przed tym robili w cztery; przykład równie godny podniesienia, jak odbudowa mostu Poniatowskiego. Nie dość więc powiedzieć, żeśmy „osiągnęli 60 proc. wydajności przedwojennej". Osiągnęliśmy już wydajność, której nie miały przed wojną dwa z pośród przodujących krajów przemysłowych. Osiągnęliśmy wydajność, która pozwala nam nie tylko na zaspokojenie potrzeb własnych w zakresie węgla, lecz także eksport, na co się nie może zdobyć czołowy eksporter europejski i nasz największy konkurent — Anglia. Należy używać porównań z obcymi także wtedy, gdy możemy być z tego dumni. Należy wreszcie notować pozytywne osiągnięcia i przestać wiecznie narzekać.

p.k.



Louis Saillant, sekretarz Międzynarodowej Federacji Związków Zawodowych był gościem polskich Związków Zawodowych i wygłosił przemówienie na uroczystości w sali kina „Roma" w Warszawie, poczem zwiedził polskie wybrzeże wyrażając się z uznaniem o tempie odbudowy naszych portów i o polskim ruchu zawodowym.

Zdzisław Andrzej Lutrosiński

SZUKAM CZŁOWIEKA

(Fragment)

Wrzesień 1944 r. Pociąg Wiedeń — Linz przewija się między osłonecznionymi zboczami wzgórz i szaro-żółtą wstęgą Dunaju.

W przedziale wagonu, na przeciwko siebie, siedzą dwaj młodzi ludzie. Jeden, dobrze ubrany, o bladej twarzy inteligenta, znużony widocznie, prześlizguje się po obecnych, niedbałym spojrzeniem spod rogowych okularów. Drugiego wygląd i ubranie wskazują na jego chłopskie pochodzenie. Jest zatroskany, pragnie podzielić się z kimś tym, co go gnębi. Wyraża obawy, jeśli chodzi o cel podróży, wspomina dom i rodzinę. Nie ma odpowiedzi. Wreszcie pierwszy rzut oka w zniecierliwieniu: — Maturę macie? — Nie. — To oficerem także nie jesteście? — Nie. — Więc o czym mogę z wami rozmawiać?

☆

Pociąg zatrzymuje się na małej stacyjce. „Mauthausen" — aussteigen". Znika obojętność z twarzy pierwszego, pogłębia się troska u drugiego. Z krańcowych przedziałów wagonu wychodzą policjanci i wśród klątw i poszturchiwań wypędzają ludzi na peron, gdzie oczekuje już konwój SS. Ustawiają ludzi piątkami, odliczają, komendanci konwojów wymieniają dokumenty, następuje kwitowanie więźniów i pośród nawoływań SS-manów kolumna rusza.

Cel dla wszystkich jasny. Obóz koncentracyjny. Kierunek nieważny—prowadzą SS-mani. Dla zmęczonych ludzi ważna jest tylko odległość. Tej nie znają. Droga prowadzi początkowo przez miasteczko. Więźniowie obserwują mieszkańców. Niemcy, przyzwyczajeni do takich transportów, nie zdradzają ani cienia zainteresowania. Całkowita obojętność malująca się na twarzach nie rokuje dobrych nadziei.

Południe. Panuje nieznośny skwar, charakterystyczny dla klimatu górnej Austrii. Jak na przekór droga wspina się pod górę. Więźniowie, wyczerpani przebytym śledztwem i więzieniami, zaczynają słabnąć. Zwalniają kroku; kolumna rozciąga się, SS-mani wstępują w swoje role i pośród klątw i razów poganiają więźniów.

☆

W jednej z ostatnich piątek idą dwaj młodzi ludzie z przedziału kolejowego. Z opuszczonymi głowami, posuwają się ociężale w tumanie kurzu wytwarzanego przez pierwsze szeregi. Pierwszy przeciera co chwilę ociekające potem okulary. Denerwuje się. Dziwna trudność w odlychaniu i ociężałość nóg napawają go obawą. Obozu nie widać. Niewiadomo, jak daleka jeszcze droga. Ostrożnie odwraca głowę, obserwując przez moment esesmana zamykającego pochód, zwalnia kroku i decyduje się na pytanie:

— Czy będziemy mieli odpoczynek?

— Tak, ale tutaj — odpowiada esesman, wskazując lufą karabinu kierunek do ziemi i zadowolony z konceptu pomaga więźniowi silnym kopniakiem do dogonienia kolumny. Więzień spogląda na swego sąsiada z przedziału. Ten jest wprawdzie zmęczony, ale trzyma się dobrze. Zazdrości mu jego sił fizycznych.

Mijają więźnia, który, wspierając się na łokciach, czyni największy wysiłek, aby się podnieść. Zostawiają go za sobą. Za chwilę pada strzał. Strach nie pozwala obejrzeć się. Więzień w okularach czuje, że o własnych siłach nie pójdzie dalej ani kroku. Za nim esesman, o którym zdążył się przekonać, że nie tylko potrafi grozić, ale i groźby w czyn wprowadzać. Ogarnia go strach, nogi uginają się bezwolnie. Obok towarzysz z pociągu. Czepia się kurczowo jego ramienia, bełkoce coś o pomocy, dozgonnej wdzięczności. Grube szkła okularów potęgują i wykrzywiają śmiertelny strach, wyzierający z oczu.

Towarzysz bez słowa obejmuje prawą ręką przelewające się ciało więźnia, lewe jego ramię przerzuca sobie przez kark i tak ciągnie się za kolumną. W odległości kilkuset metrów widać już mury obozu.

☆

Ostatnia niedziela grudnia 1944 r. Między więźniami polskiego siódmego bloku panuje ożywienie. Jest to dzień pisania listów.

Pomyślne wiadomości z frontu wschodniego krzyżują się z jaknajgorszymi prognozami dla więźniów. Szepce się o mającej nastąpić ofenzywie sowieckiej na Wiśle, o likwidacji więźniów przed zakończeniem wojny. Zwiększa się głód i wzrastająca śmiertelność przemawiają za takim rozwiązaniem. Napisanie ostatniego listu nabiera dla więźniów szczególnej wagi. Jest to ostatnia możliwość zawiadomienia najbliższych w obliczu problematycznej wolności i możliwej śmierci. Więźniowie wiedzą, że dla ich matek, żon i rodzin list ten to może ostatnia i jedyna pamiątka. Każdy się męczy, aby na piętnastu linijkach urzędowego blankietu listowego, zawrzeć w słowach cenzuralnych ostatnie pozdrowienia i zlecenia. List trzeba jeszcze przetłumaczyć na język niemiecki.

Rolnik znajomy nasz z pociągu, biedzi się nad listem do matki. Ręką stwardniałą i okaleczoną od kamieni, z trudem kreśli słowa. Pisze, że jest mu dobrze. Martwi się tylko o matkę—staruszkę, która po wzięciu ojca i jego, sama została na gospodarce. Pyta o bliskich sąsiadów. Wspominia o jałówce i o dachu co przecieka. Powtarza końcu raz jeszcze, że jest jest mu dobrze i zapewnia matkę o tym, że wróci. Wróci napewno. Skończył. Czyta kilka razy, poprawia troskliwie niektóre słowa. Zbliża się wieczór. O ósmej mija termin składania listów w kancelarii bloku. Zaniepokojony szuka kolegi, któryby mu list przetłumaczył. Zwraca się kolejno do kilku. Odmawiają z przykrością, wskazując na listy, jakie mają jeszcze do przetłumaczenia. Po odmowie ostatniego, traci już nadzieję, rozgląda się bezradnie po izbie i dostrzega towarzysza z przedziału kolejowego. Siedzi on pod oknem zatopiony w lekturze. Zadowolony jest z losu. Dzięki znajomości języka niemieckiego i pomocy starszych więźniów, litujących się nad jego wyglądem, został zatrudniony w kancelarii obozu. Poza większym bezpieczeństwem zapewnia to jeszcze dodatkowe przydziały żywności i papierosów. Powodzi mu się dobrze. Właśnie nie ma innych trosk, jak studiowanie języka angielskiego.

Po wysłuchaniu nieśmiałej prośby o przetłumaczenie listu, bierze kartkę, przebiega z uśmiechem treść i rzuca niedbale:

— Bochenek chleba.

Odpowiedzi nie ma. Z trudem napisany list wraca do ręki więźnia. Bo tego chleba nie ma.

☆

Z przygotowanej do druku książki p. t. „Szukam człowieka".



W Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi bawi Maria Gorczyńska, występująca w komedii Franciszka Herczega p. t. „Niebieski lis". Obok Gorczyńskiej udział biorą: Daczyński, Świderski, Jezierska i Pietraszkiewicz

Omdlenie upowszechnienia

czyli o teatrze i jego społecznych zadaniach

Mówi się i pisze u nas wiele o „upowszechnieniu kultury widowiskowej", o „teatrze dla mas", o jego „społecznych zadaniach". Równocześnie fachowcy biadają nad „kryzysem", czy „omdleniem teatru polskiego".

Pozornie związek tych dwóch serii epitetów wydaje się bardzo prosty; teatr przeżywa kryzys właśnie dlatego, że nie spełnia swoich społecznych zadań. Coprawda wszyscy jako tako zorientowani w sprawach teatru ludzie muszą stwierdzić, że pod względem kasowym każde niemal widowisko kalkuluje się doskonale; publiczność jest zainteresowana teatrem, uczęszcza do niego chętnie mimo wysokich cen; ponieważ jednak zarabianie pieniędzy w żadnym wypadku nie może być uznane za główne zadanie teatru, jako że głównym zadaniem jego jest pełnienie określonych funkcji społecznych — teatr przeżywa kryzys. Przy takim ujęciu, wszystko — zdawałoby się — jest jasne.

Jeśli jednak pokusimy się o jakie takie sprecyzowanie sensu wyrażeń „kryzys teatru" oraz „jego społeczne zadania", uznamy raczej za słuszne odwrócenie wypisanego powyżej twierdzenia. Nie kryzys teatralny jest wynikiem aspołecznego stanowiska teatru, lecz aspołeczne stanowisko uwarunkowane jest głębokim kryzysem, jaki przeżywa obecnie teatr w Polsce. „Teatr dla mas" jest przecież celem, a kryzys odgrywa rolę zjawiska, które w osiągnięciu tego celu przeszkadza.

Dokładniejsza analiza tego kryzysu powie nam, że ma on co najmniej trojakie oblicze: ekonomiczne, ideologiczne i artystyczne. Poświęćmy chwilę uwagi każdemu z tych aspektów.

1) **Ekonomiczny kryzys teatru.** Owe pozornie duże zarobki z drogich „kompletów" wystarczają w zupełności na doraźne łatanie kasy teatralnej: wypłacenie gaż wykonawcom, zmontowanie następnego widowiska; nie wystarczają już na nic więcej. Teatry mają jednak znacznie więcej wydatków, i dlatego każde bardziej ambitne przedstawienie wymaga w zasadzie subwencji. Większość teatrów otrzymuje jakieś skromniutkie subwencje, toteż w rezultacie środki finansowe, jakimi nasze sceny rozporządzają, pozwalają im na oszczędne wegetowanie w dotychczasowych ramach. Ramy te — społecznie rzecz biorąc — ustala widz, który płaci: inteligencja, mieszczaństwo, szabrownicy. Teatr dzisiejszy musi być teatrem tego widza, dopóty, dopóki nie oprze swoich finansów na jakiejś innej zasadzie.

Prawdopodobnie rzecz musiałaby się zacząć od wznoszenia nowego typu gmachów teatralnych, znacznie prostszych, tańszych i wielokrotnie rozleglejszych; dopiero w takim gmachu można by się kusić o zdobycie nowego odbiorcy sztuki. Dzisiejszy „wegetujący" teatr na to zdobyć się nie potrafi.

2. **Kryzys ideologiczny teatru** wyraża się przede wszystkim w repertuarze, a wiąże się, rzecz prosta, z daleko rozleglejszym kryzysem ideologicznym, trapiącym całe bez mała współczesne pokolenie.

K. Wyka, pisze o tych sprawach w „Twórczości", dostrzega „omdlenie teatru" w renesansie Zapolskiej. Istotnie, zadziwić musi powodzenie w naszych teatrach tych pozycji repertuarowych, które uznalibyśmy raczej za (społecznie, nie artystycznie) przebrzmiałe. Zapolska ze swym atakiem przeciw drobnomieszczaństwu powinnaby — takie jest mniemanie „lepszego widza" — stać się już pozycją historyczną. Tymczasem nie; publiczność, która chodzi do teatru, smakuje w jej problemach, jak w najbardziej aktualnym objawieniu. Dlaczego? Bo to jest właśnie publiczność inteligencko - drobno - mieszczańsko - spekulancka. Innego widza teatralnego prawie dziś nie ma.

Nie ma zresztą i innego repertuaru. A szkoda, bo kształcenie t. zw. „szerokich mas", wyrabianie w nich odkrywczego poczucia aktualności, nie może się dokonać bez udziału najbardziej społecznych ze sztuk. Dwa rodzaje pozycji repertuarowych mogłyby tu być pomocne: dzieła o wiecznej wartości z repertuaru klasycznego (Szekspir, Molier), albo wartościowe i twórcze dramaty współczesne. Tego drugiego rodzaju na razie prawie nie posiadamy; niestety, atmosfera kulturalna, panująca obecnie w Polsce, zdaje się nie dobrze wróżyć również o jego perspektywach w bliskiej przyszłości. Z repertuarem zaś klasycznym poczynają sobie nasze teatry ostrożnie, po części dlatego, aby nie zrazić sobie swego dotychczasowego odbiorcy. Gdyby znalazły innego, kto wie... Ale właśnie, aby go znaleźć, istnieje tylko jedna droga po prostu trzeba odważnie wyjść na spotkanie.

3) **Kryzys artystyczny.** Jak nie było dotychczas w powojennej Polsce zdecydowanych planów repertuarowych (każdy teatr mógłby grać sztukę — w ramach dozwolonych przez cenzurę polityczną; nie ma pozycji uprzywilejowanych; wybór jest przypadkowy i dorywczy), tak samo nie może być na razie mowy o istnieniu prądów inscenizacyjnych w naszym teatrze. „Realizm", który u nas panuje, jest wszędzie bardzo niewykrystalizowany i eklektyczny. Oczywiście, postulat podporządkowania całego życia teatralnego w Polsce jakiemuś jednemu kierunkowi artystycznemu, byłby niewłaściwy i nie celowy; zupełny jednak brak takich kierunków powoduje poważny kryzys. To odbija się z kolei ujemnie na stosunkach między teatrem a widzem. Wysokie walory artystyczne mogą laika i znawcę zachwycić; szerszą publiczność jednak przyciąga na ogół do teatru raczej zdecydowany prąd. Nasz dzisiejszy widz jest zdezorientowany i pozostawiony własnemu uczuciu, które go aż nazbyt często myli; niestety, również i nasz aktor znajduje się przeważnie w takiej samej sytuacji. Posiadamy wprawdzie kilku bardzo wybitnych teatrologów, ale ich energia, choćby nawet najbezlitośniej eksploatowana, nie może niestety nastarczyć wszystkim potrzebom teatru w Polsce.

I znów trzeba tu dodać, że atmosfera kulturalna nie sprzyja dziś bynajmniej twórczej pracy ludzi teatru. Obecna przerwa między sezonami, podczas której mogliśmy obserwować doraźnie tworzone zespoły, gorączkowo wędrujące za zarobkiem, zdaje się być najlepszym świadectwem słuszności takiej oceny.

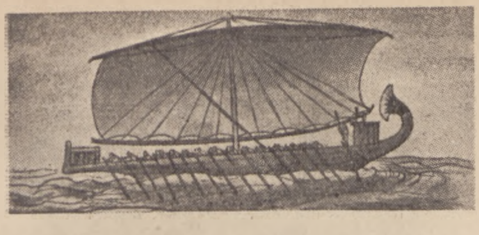
Analiza wypada zatem pesymistycznie. Teatr nie będzie mógł pełnić swoich społecznych zadań, stać się szkołą, kształcącą artystycznie i intelektualnie „szerokie masy", zanim nie ocknie się z potrójnego letargu. Aby się ocknąć, potrzebuje współpracy wielu czynników, które dzisiaj prawie nie istnieją. Na razie mamy w Polsce zaledwie kilka nielicznych grup ludzi dobrej woli, pracujących w naprawdę trudnych warunkach nad przerastającym ich siły zadaniem, szereg utalentowanych pracowników teatru i życzliwie usposobioną, choć zbyt szczupłą, publiczność; mamy wreszcie ustalone najbardziej ogólne ramy życia społecznego, zapewniające teatrowi życzliwą pomoc w jego walce o wydobycie się z kryzysu. Nie jest to zbyt wiele, oczywiście; ale trzeba cieszyć się i z tego, i przede wszystkim starać się jak najlepiej wykorzystać istniejące skromniutkie zapowiedzi ewentualnych lepszych czasów.

Edward Csató

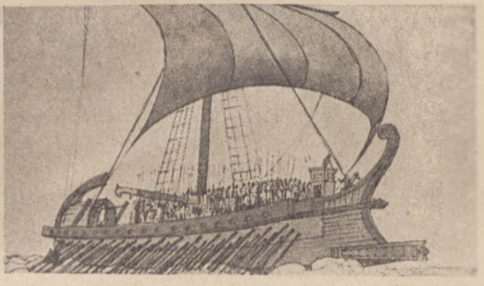


W teatrze toruńskim ogólne uznanie zdobyła sobie sztuka „Szczęśliwe dni" Claude André Pugot'a, w której wyróżniają się swą grą: Barbara Fijewska i Krystyna Salaburska. Od nowego sezonu teatralnego obie artystki zaangażowane zostały do teatrów łódzkich pod dyrekcją Leona Schillera

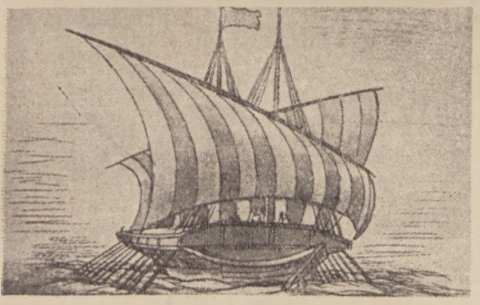
ODWIECZNE MORSKIE SZLAKI



Żaglowiec staroegipski



Okręt rzymski z czasów Kaliguli (I w. po Ch.)



Galera wenecka. (VII w. po Chr.)

Możnaby powiedzieć, że okręt jest tak stary jak ludzkość, jeśli życie ludzkości ograniczymy w czasie, co do którego mamy takie czy inne źródła historyczne. Już bowiem w epoce kamiennej znany był okręt, a w epoce brązowej używano łodzi z dziobnicą kształtu zwierzęcego; nieco później na Morzu Egejskim występuje okręt z wysokim przodem. Wszystkie ludy starożytności — Egipcjanie, Babilończycy, Asyryjczycy, Persowie — były żeglarskie. Do wysokiego kunsztu i znawstwa doszła budowa okrętów u Fenicjan, Greków i Kartagińczyków.

Staroegipski okręt odznaczał się znaczną długością, wielką ilością wioseł i jednym mocno ożaglowanym masztem. W takim kształcie istniał już w II tysiącleciu przed Chrystusem. Z tego rodzaju okrętów składała się też ogromna flota faraona Necho II (609—595 przed Chr.), która dokonała niezwykłej wyprawy morskiej, na wiele wieków przed Vasco da Gama (r. 1497) opływając kontynent afrykański, rozpoczàwszy wszelako podróż z przeciwnej niż znakomity Portugalczyk strony. Flota Necho II udała się z Morza Czerwonego na południe i trzymając się brzegów Afryki, żeglowała wzdłuż nich przez trzy lata, powróciwszy do Egiptu przez Gibraltar i Morze Śródziemne.

Mistrzami w budowie okrętów i żeglarstwie byli Fenicjanie — naród kupców i handlarzy morskich, a potem kartagińczycy, od których sztukę żeglarską przejęli Rzymianie w epoce wojen z Kartaginą czyli t. zw. punickich. Dotąd byli Rzymianie narodem lądowym. Wobec morskiej potęgi Kartaginy znaleźli się w takiej sytuacji, w jakiej — przypuśćmy — dzisiaj kawaleria stanęłaby wobec czołgów, albo płatowiec Bleriota wobec nowoczesnego bombowca. Kartagińie mogli przeciwstawić Rzymianie tylko niewielkie okręty przybrzeżne, budowane na wzór greckí, zwane trierami („trójwiosłowce") czyli mającymi trzy rzędy wioseł, wówczas gdy flota kartagińska składała się z wielkich pięciopokładowych okrętów. Historia mówi, że jeden z tych olbrzymów kartagińskich — pentera — osiadła na mieliźnie w cieśninie sycylijskiej i jako zdobycz wojenna dostała się w ręce Rzymian. Posłużyła dla nich jako model. Wedle niej w krótkim czasie zbudowali Rzymianie flotę ze 120 jednostek i w r. 260 przed Chr. spuścili ją na morze. W pierwszej wielkiej bitwie morskiej z Kartagińczykami (pod Mylae, niedaleko dzisiejszej Messyny) flota ta posłużyła się oryginalnym fortelem: kiedy okręt kartagiński zbliżał się na parę metrów do rzymskiego, ażeby mu odciąć wiosła, z okrętu rzymskiego spadał niespodzianie ukryty na jego pokładzie most ruchomy, zaczepiając się o pokład kartagińskiego hakami. Po moście wbiegali ciężko uzbrojeni legioniści rzymscy, i tym sposobem kartagińczycy ponieśli zupełną klęskę.

Zbiegiem czasu Rzymianie, doskonaląc swe budownictwo okrętowe, zmniejszyli wymiary okrętów dla ułatwienia manewrowania. Z nielicznymi wyjątkami okręty-olbrzymy (o paru tysiącach wioseł) okręty rzymskie miały przeważnie pojemność od 50 do 100 t. Obok okrętów z wiosłami istniały także żaglowce bez wioseł.

W średniowieczu mamy różne typy okrętów żaglowych. Śmigłe bardzo i piękne były łodzie wikingów — żeglarzy i korsarzy normandzkich — zaopatrzone najczęściej w dziób o kształcie smoka. W XIII — XV wieku pływają po morzu Śródziemnym galeony, karawele i kogi. Galeona jest to okręt wojenny hiszpański i portugalski o 1000 t. pojemności, długości do 30 metrów, o 3—5 masztach i uzbrojony w 8 ciężkich dział. Na



Galera asyryjska

galeonach dokonywano najczęściej podboju kolonii. Karawela była niewielka, o wyporności od 50 do 150 ton i używana w podróżach morskich. Na karawelach popłynął Kolumb na odkrycie Ameryki. Koga najpospolitsza była na morzach północnych w żegludze hanzeatyckiej. W portach Szczecina czy Gdańska zatrzymywały się kogi.

W r. 1514 zbudowano jeden z pierwszych dwupokładowców — angielski okręt wojenny „Henry Grace à Dieu". Udoskonalone następnie, te dwupokładowce rozbiły hiszpańską „niezwyciężoną armadę", która w roku 1588 król Filip .II wysłał przeciw królowej angielskiej Elżbiecie. „Armada" składała się ze 132 galeon, znacznie cięższych i mniej zwrotnych od dwupokładowców angielskich. Część „armady" zniszczona została przez burze, toteż Anglicy wybili potem monety pamiątkowe z napisem: „Afflavit Deus et dissipati sunt" („Za podmuchem Boga poszli w rozsypkę").

W w. XVII i XVIII w użyciu były różne typy okrętów: fregaty, korwety, szkunery i kutry. W r. 1787 zbudowano w Anglii pierwszy okręt z żelaza. Na takich to okrętach Nelson dwukrotnie odniósł zwycięstwo nad Francuzami: w r. 1798 zniszczył flotę francuską pod Abukirem, zapewniając przez to Anglii panowanie nad Morzem Śródziemnym. a w r. 1805 pod Trafalgarem (w południowej Hiszpanii) pobił Francuzów tak dotkliwie, że z 33-ch okrętów stracili 18, wówczas gdy Anglicy na 27 stracili tylko jeden. Od Trafalgaru zaczyna się zdecydowana przewaga Anglii na morzach w w. XIX.



Smok wikingów

Przewrót w żegludze spowodowało wynalezienie maszyny parowej. Koło r. 1857 pojawiły się pierwsze stalowe parowce i budownictwo okrętów poszło innymi drogami.



Karawela Kolumba, r. 1490

Na barykady, Warszawo!

Na barykady, Warszawo,
Zwyciężaj w codziennych bojach.
Twe zgliszcza są twoją sławą,
W twych gruzach jest wielkość twoja.
Bo serca nasze odważne,
Nie można ich uciemiężyć.
Śmierć? — Nieważne!
Życie? — Nieważne!
Ważne — zwyciężyć!

Poprzez pożary i dymy,
Od Woli aż po Mokotów,
Brzmi hasło nasze: „Walczymy!"
I dumny nasz odzew: „Gotów!"
Bo serca nasze odważne,
Nie można ich uciemiężyć.
Śmierć? — Nieważne!
Życie? — Nieważne!
Ważne — zwyciężyć!

Przemówił wróg do Warszawy:
„Wywieście chusteczki białe,
Za łyżkę niemieckiej strawy
Sprzedajcie wolność i chwałę".
Lecz serca nasze odważne,
Nie można ich uciemiężyć.
Śmierć? — Nieważne!
Życie? — Nieważne!
Ważne — zwyciężyć!

JAN BRZECHWA

(Wiersz napisany w połowie sierpnia r. 1944 i ogłoszony w „Barykadzie Powiśla". Popularny wśród obrońców Powiśla. Obecnie, w drugą rocznicę powstania wielokrotnie cytowany bez podawania nazwiska autora).



Koga hanzeatycka, r. 1380



Okręt wojenny z końca w. XVII

Rozmaitości...

Kolor wolności.

Kiedy Rzymianie wyzwalali niewolnika kładli mu na głowę małą czerwoną czapkę, zwaną pileus. Saturnius zdobywszy Rzym w 263 r. wywiesił taką czapkę na znak, że wszyscy niewolnicy, którzy się do niego przyłączą, otrzymają swobodę. To samo uczynił Mariusz, kiedy podburzał lud przeciw Sylli. Bogini wolności w dawnym państwie Rzymskim trzymała zawsze czerwoną czapkę. Dlatego też Jakobini zaczęli ją nosić podczas Rewolucji Francuskiej, jako symbol wolności. Obecnie kolor czerwony we wszystkich niemal krajach jest symbolem wolności.

✶

Skąd się wzięło słowo „bankrut"?

We Włoszech każdy większy kupiec miał niegdyś swoją ławkę na giełdzie. Jeżeli stał się niewypłacalny łamano jego ławkę i przezywano go „banca rotta" co znaczy złamana ławka.

✶

Recepta na dobre sługi.

Chcąc mieć dobre sługi — pani domu winna wziąć: dwa kilo „panowania nad sobą", kilo „cierpliwości", tyleż „sprawiedliwości", kilo „dobrego serca", pół kilo „energii" zmieszawszy to, niech ocukrzy „wyrozumiałością" i zażywa codziennie aż do skutku.

✶

Ciepłe zimy w Polsce.

Wiemy z kronik, że w 1421 r. w końcu lutego drzewa były już rozwinięte, w końcu marca zakwitły sady, a w końcu kwietnia dojrzały wiśnie. W 1538 r. w styczniu ogrody były pełne kwiatów. W 1589 r. nie było ani mrozu, ani śniegu. W 1690 r. nie palono wcale w piecach. Lata 1781, 1807 i 1823 r. odznaczały się nadzwyczaj ciepłymi zimami.

✶



Okręt wojenny, XVIII w. (angielski)

Skleroza

CIEKAWE RZECZY

Korespondent zagraniczny pism polskich p. Marian Podkowiński pisze w „Dzienniku Polskim“ (Nr 213) o Paryżu:

„Wiele jest ciekawych rzeczy w Paryżu, które na pierwszy rzut oka są prawie nieuchwytne. Np. cudowna architektura tego miasta lub małe śliczne cukierenki, gdzie przy kilku stolikach siedzi para podchmielonych Francuzów, kpiąc sobie z otoczenia. Tu pachnie wolnością i Francją“.

Nam się zdaje, że tu pachnie sklerozą. A oto dlatego: jeśli cudowna architektura Paryża jest dla kogoś na pierwszy rzut oka prawie nieuchwytna, to ten ktoś musi mieć zwapnienie gałki ocznej. Ta sama diagnoza— jeśli chodzi o małe śliczne cukierenki. Natomiast, jeśli ktoś przy kilku stolikach widzi jedną parę podchmielonych Francuzów, to należy przypuszczać, że raczej nie ona jest podchmielona; wobec tego jej kpiny z „otoczenia“ są uzasadnione. Używanie alkoholu jest sklerotykom bezwarunkowo wzbronione.

●

Tygodnik paryski „Les Etoiles“ („Gwiazdy“) z dnia 18 lipca r. b. pisze:

„Przedsiębiorstwo Film Polski uruchomiło dwadzieścia kin wędrownych, przeznaczonych dla wsi polskiej. Aparatura ustawiona jest na specjalnych wozach samochodowych, pozwalających na szybkie przejazdy z miejsca na miejsce. Plan obsłużenia filmowego wsi przewiduje dwa seanse codziennie w każdej wsi. Czas, abyśmy i my poszli za przykładem Polski“.

Od i do Redakcji

Kazimierz Leszczyński i Leszek Pilawski w Rembertowie, ul. Jerzego 5, piszą: „Z radością powitaliśmy ukazanie się „Tygodnia“. Zawiera on dużo ciekawych artykułów z różnych dziedzin życia, z wyjątkiem historii literatury polskiej. My, uczniowie liceum, chcielibyśmy uzupełniać wiadomości nabyte w szkole, ale książki są drogie. Prosimy więc Redakcję o artykuły z historii literatury polskiej, ale od samych jej początków. Wiemy o trudnościach materialnych, jakie nastręczy prowadzenie takiego działu, ale każdy chętnie się zgodzi, żeby cena była podwyższona. Prosimy w imieniu tysięcy koleżanek i kolegów z różnych szkół, gdyż rzadko spotyka się obecnie szkoły, któreby miały dobrze zaopatrzone biblioteki“.

Zwracając się na tym miejscu do Ministerstwa Oświaty z prośbą o lepsze zaopatrzenie bibliotek szkolnych, redakcja „Tygodnia“ obiecuje swym miłym korespondentom, że postara się o „artykuły z historii literatury polskiej“, nie podwyższając ceny pisma.

P. Józef Baranowski w Poznaniu. Zaszło nieporozumienie. Prosimy o prozę, to znaczy o dobry artykuł, reportaż, korespodencję etc. „Gasnące lato“, które Pan nadesłał, jest prozą poetycką czy też poezją w prozie.

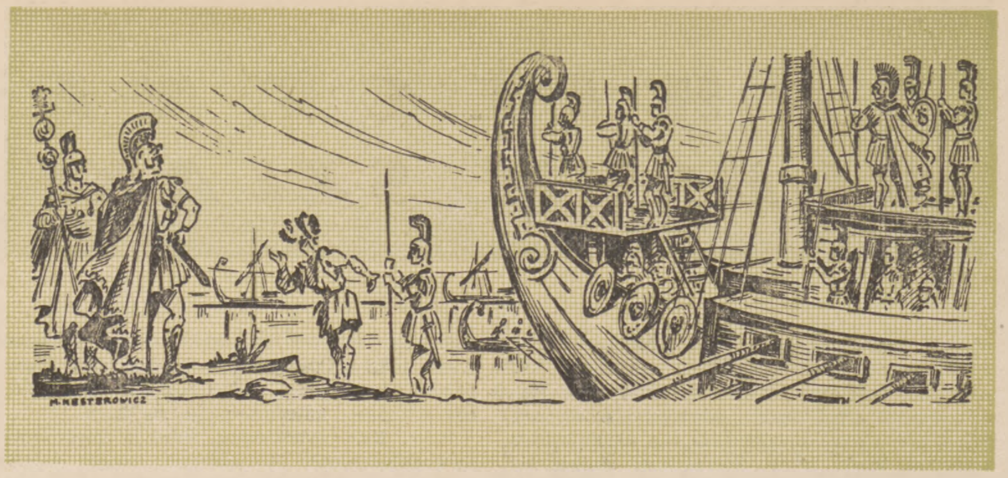
P. J. Rola. Gdyby „Przyjaciel Polski — generał Fritsch“ był rzeczową notatką, podającą ścisłe fakty, wydrukowalibyśmy go. W tej formie, jaka mu została nadana, jest impresją poetycką, która nic konkretnego nie zawiera.

P. Zbigniew Renczlewski. Maszynopis zawiera zbyt wiele błędów i trudny jest do odczytania.

Autor „Zieleniaka“. Artykuł spóźniony. Nie możemy wydrukować.

SIŁA PRZYZWYCZAJENIA





Anegdoty historyczne

ALEKSANDER MACEDOŃSKI I KORSARZ

Pewnego razu przed obliczem Aleksandra stawiono pojmanego korsarza, który na widok oczekujących go tortur zachowywał godny podziwu spokój ducha.

— Jakim prawem — zapytał go wielki zdobywca — ośmielasz się napadać na morzach, rabować okręty i łodzie?

— A ty — odrzekł pojmany — jakim prawem pustoszysz świat cały? Że przebiegam morze w samotnym małym statku, traktujesz mnie jak pirata, ciebie zaś, który czynisz to samo z olbrzymią flotą, nazywają królem.

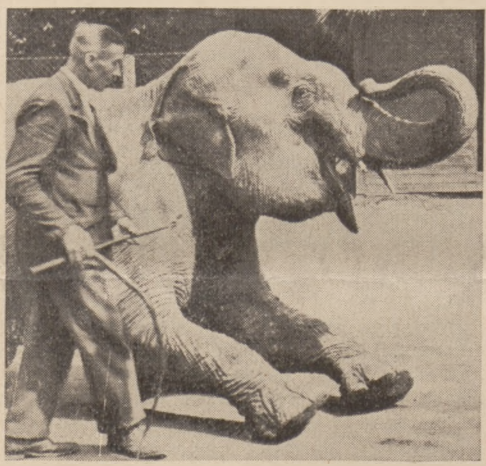
Historycy powiadają, że ta wyniosła i pełna odwagi odpowiedź uratowała życie jeńcowi, którego król rozkazał zwolnić natychmiast.

ŁÓDZKIE ZOO

Dziewiątka dowozi nas do samego ZOO. Wchodzimy do parku. Przy pierwszym skrzyżowaniu alei namalowana małpa zwraca się się do nas o pomoc za pośrednictwem napisu: „Przyjmuję tylko owoce“. Slogan jest dobrze pomyślany: jesteśmy zasugerowani, że małpa otrzymuje tyle najrozmaitszych produktów,



Królewska para



Poranna lekcja 4-tonowej Magdzi

iż wybiera z nich wyłącznie owoce! Czym prędzej biegnę po jabłka i kieruję swe kroki do klatek, które są dosłownie oblepione publicznością.

Małpy cieszą się największym zainteresowaniem. Jest to objaw zupełnie zrozumiały, skoro się weźmie pod uwagę, że nie wszyscy mają w domu portrety swych przodków.

Klatki oddzielone są od publiczności drewnianą barierą, gdyż małpy lubią „iskać“ tych, którzy się im przypatrują ze zbyt bliskiej odległości.

Przed paru dniami zdarzył się tragiczny wypadek: duży czarny szympans Leon odgryzł palec dziecku, które chciało mu podać kawałek ogórka.

Obecnie przy klatce dozorca pilnuje, żeby się nikt nie zbliżał do niebezpiecznego Leonka.

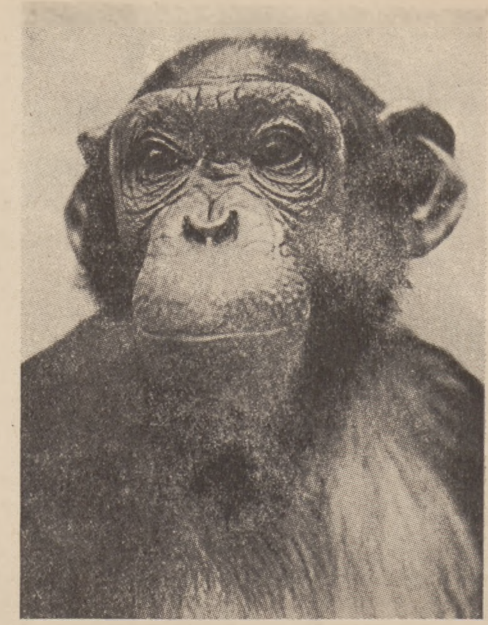
To bandyta — mówi z przekonaniem — nawet mnie chciał ugryźć, kiedy go karmiłem!

Młode małpięta wesoło igrają w swej klatce, skaczą jak opętane, wydają przeraźliwe skowyty, wdrapują się na jedyne drzewko, które ma imitować przyrodę podzwrotnikową. Stara małpa patrzy na nie z politowaniem. Siedzi smutna w kącie i od czasu do czasu gwałtownie drapie się za uchem...

Kraina ptactwa sąsiaduje z zagrodą, gdzie pasą się osły i kozy. Nic sobie nie robią z publiczności i są tak spokojne, jak na próbnym okręcie na Bikini...

Z daleka z zazdrością przyglądają się żubrom bizony, rozgoryczone, że nie są takie rzadkie.

Wilki mieszkają na efektownej wysepce



Bandyta Leon

oddzielone od publiczności kanałem i drutem kolczastym. Póki się z nimi bezpośrednio nie zetknąć, niczym nie różnią się od psów...

Lisowi w klatce nie pomaga przysłowiowa chytrość. Jego kuzynek szop - pracz to też właściwie lis tylko tak się nazywa, ponieważ jest higienistą i myje pokarm przed jedzeniem.

Dzik robi wrażenie oswojonego, a nad klatką świni „pekari“ napisane jest: „wodzi dwoje małych i dlatego ma tylko dwie sutki; służy do wyrobu luksusowych rękawiczek“.

Dochodzimy do siedziby królewskiej. Olbrzymie lwisko nawet w klatce wygląda imponująco.

— Jaki apetyt ma lew? pytam dozorcy.

— Niczego. Piętnaście kilo mięsa wcina bez wysiłku, a zjadłby drugie tyle!

Obok klatek lwów mieści się niewielki basen, w którym leży bez ruchu krokodyl, Obżarł się i śpi. Nad nim napis: „aligator - szczupak“.

Na zakończenie odwiedzam ulubienicę dzieci pocieszną Magdę. Jest to jedyny słoń, jaki w Polsce został. Waży 4 tony, ma lat 25 i żyje w przymusowym celibacie.

— To moje największe zmartwienie — mówi dozorca, że nie mam jej za kogo zamąż wydać.

Magda jest zalotna, jak panna na wydaniu. Z wdziękiem dyga, staje na dwóch łapach, a nawet siada na stoliku, który trzeszczy, ale nie pęka...

Potrafi nawet swego nauczyciela wziąć delikatnie trąbą i podnieść do góry.

Po wszystkich sztukach zbiera pieniądze „co łaska“ do puszki...

Jest mądra i przywiązuje się do ludzi. Kiedy przed paru miesiącami zmarł jej poprzedni dozorca, biła z rozpaczy łbem o ścianę i sześć dni nic jeść nie chciała. Wychodząc z ZOO spotykam jeszcze jeden napis umieszczony pod wizerunkiem małpy „dowiedź nam, że jesteś człowiekiem“.

Muszę przyznać, że gdyby małpa naprawdę wystąpiła z takim wnioskiem, niejeden z nas byłby w przykrym położeniu...

Andrzej Wyga

KONKURS „TYGODNIA“ NA REBUSY



WARUNKI KONKURSU

W Nr. 6 ogłosiliśmy konkurs na rebusy, które podawane będą w 10 kolejnych numerach.

Dziś zamieszczamy drugi z kolei rebus.

Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

Jako nagrody Redakcja przeznacza:

1 nagrode — 1500 zł.
1 nagrode — 1000 zł.
3 nagrody — 500 zł.
10 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia“.

W razie równej ilości zdobytych punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 15 października b.r. do redakcji „Tydzień“, Łódź, ulica Pomorska 37/1.

Za rozwiązanie rebusu w Nr. 6 przyznane będą 4 punkty.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień“ ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Drukarnia: Zakłady Graficzne „Społem“ Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01686